# ZABAWY

# ŚWIĄTECZNE

## DLA LUDU.

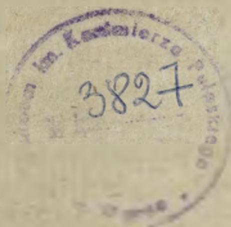
---

LWÓW.

W DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO OSSOLIŃSKICH

—

1851.


im. Kazimierza
3827

# WIADOMOŚĆ

## O POPIELCU I POŚCIE CZTERDZIESTODNIOWYM.

---

Kościoł święty Post czterdziestodniowy od Popiełca, czyli od posypania wiernych popiołem zaczyna. We środę po zapustach odbywa się ten smutny obrządek. Jest on szczątkiem dawnej karności kościoła, zachowywanej względem tych, którzy stali się winnymi publicznej pokuty. W wór odziani i boso, stawali przed drzwiami kościoła i czynili wyznanie swych grzechów. Kładziono na nich włosiennicę, posypywano popiołem głowę, pokrapiano ich wodą święconą, naznaczano stosowną pokutę, wprowadzano nareszcie do kościoła i tam krzyżem położyć się im kazano. Kapłani także krzyżem leżąc, za nimi się modlili: śpiewano Psalmy pokutne, miano do nich przemowę i wyprawiano z kościoła w chwili, gdy te słowa śpiewa-

no, które Bóg wyrzekł do Adama wyganiając go z raju: »W pocie czoła twego chleb pożywać będziesz.« Nie powracali już do kościoła, aż w wielki czwartek, w dzień pojednania.

Przez pokorę i pobożność wiele osób, a nawet księży, wciskało się między publicznych pokutników; ztąd po ustaniu nawet publicznych pokut od sześciuset lat, obrządek posypywania głowy popiołem pozostał. Wszystkie modły, śpiewy, obrzędy w tym dniu odbywane zmierzają do upokorzenia i pokuty, a kapłan posypując głowę popiołem, mówi owe trwogą przerażające słowa: »Pamiętaj człowiecze, iż proch jesteś i w proch się obrócisz!«

Procesya w dzień ten dawne pokutne obchody przypomina, ubiory księży, zakrycie ołtarzy, oznacza smutek i żałobę trwającą przez cały post.

Czas postu czterdziestodniowego najdzielniejszy i najskuteczniejszy jest do rozmyślania męki i śmierci Zbawiciela. Powszechny obrządek poświęcił szczególniejszym jeszcze sposobem na to dwa ostatnie tygodnie postu.

W naszym kraju kościoł rozszerzył zwyczaj przydaniem nabożeństwa Passyi, które zwykle w niedzielę po nieszporach, a w niektórych kościołach i w dni powszednie przez cały post

się odprawuje. Składa się ono z tkliwych pieśni o męce pańskiej, z kazania i procesyi.

Co do postu samego, ten zależy nie tylko na wstrzymaniu się od pokarmów mięsnych, mlecznych, masła i jaj, lecz i na ograniczeniu posiłku co do ilości. Ci co lekko pracują, obiad tylko do sytości zwyczajnej jeść powinni, a tak raz jeden w dzień jedząc, kolacyą wcale małą wieczorem pożywać jeszcze mogą. Lecz inny ma wzgląd kościoł na robotników zajmujących się ciężką pracą; na młodych, którzy nie ukończyli jeszcze 21 roku życia; na słabych w rzeczywistości; na matki karmiące dzieci; dla takich więc nie określa ilości pokarmu, jednak z warunkiem, iżby na to otrzymali zezwolenie własnego proboszcza. Kościoł ś. jest wyrozumiałą i dobroczynną matką; ona niekiedy udziela dla słusznych przyczyn dyspensy na potrawy z masłem, mlekiem, jajami a nawet z mięsem, zamieniając zawsze takowe wyjęcie z pod prawa na inne pobożne uczynki, a mianowicie: naznaczając ilość pacierzy, lub udzielanie nieszczęśliwym jałmużny według stanu i możności.

U dawnych chrześcijan post tak dalece był ścisły, iż raz jeden na dzień jedli, i to po nieszporach, wieczorem, już późno; wyjąwszy słabość zdrowia, na którą zawsze wzgląd miano.

Tak i przodkowie nasi robili, i za to im Pan Bóg błogosławił, — niemniejsza ich była gorliwość i o post duchowny, to jest o umartwienie ducha, o użycie tego zbawiennego czasu na pobożne i pokutne uczynki. W poście częstsze ich były modły, nabożeństwa, spowiedzi. Widoki zaś i igrzyska publiczne, również wszelkie zewnętrzne oznaki wesołości, jako niezgodne z duchem pokuty i umartwienia, nie miewały miejsca w czasie postu. Co zaś do oszczędności wynikającej z postu, poczytywano one za skarb ubogich. »Obróć na jałmużnę czegoś na stół nie wydał« mówi Leon święty. Post tak zachowany przyniesie bez wątpienia te owoce, których się kościoł doprasza we mszy świętej, mówiąc w prefacyi:

»Boże! ty przez post ciała, występki ujarzmiasz, ducha wywyższasz, cnoty i nagrody szczodrzysz.«



## O niedzieli Kwietniej.

W tę niedzielę zaczyna się tydzień »Wielkim« zwany, dla wielkich tajemnic, których pamiątka w nim obchodzona. Zowie się także »Świętym«, iż uroczyście był święcony. Niedzielę zaś Kwietnią lub Palmową zowiemy od poświęcenia palm albo różczek, z któremi się odbywa procesya zewnątrz kościoła, a potem zanoszą się poświęcone do domów. Jest to pomiątka tryumfalnego wjazdu Zbawiciela do Jerozolimy, któremu lud z różczkami zabiegał drogę, radośnie wyśpiewując: »Hozanna!« W pół procesyi bywa stacya: tam kapłan celebrujący, klęcząc spuszcza trzykroć palmę na krucyfix położony na pawimencie, i wówczas śpiewa słowa prorockie o męce Chrystusa »Uderzą pasterza, a rozproszą się owce!« Potem podnosi krzyż wyśpiewując: »Witaj o krzyżu, nadziejo jedyna!« Gdy procesya do drzwi kościelnych przystępuje, znajduje one zamknięte. Kantorowie śpiewają wewnątrz kościoła, a kler odpowiada zewnątrz. Subdjakon uderza końcem drzewa krzyża we drzwi kościoła, dając rozkaz otworzenia. Oznacza się przez to wstęp tryumfalny Chrystusa. Wierni mogą sobie przypomnieć, że niebo dla ludzi przez ich grzech zamknione

było: na prożbę żadnego z świętych nie mogło być otworzone, lecz na rozkaz tylko Chrystusa Pana zastępów otwartem zostało.

Po skończonej procesyi, zaczyna się wielka msza, na której ten szczególny zachowuje się obrządek, iż cała historya męki Chrystusa Pana, według Ewangelii Mateusza, jest śpiewaną. Gdzie się utrzymuje śpiewanie rzymskie, tam bywa śpiewaną przez trzech kapłanów, ubranych w albę i stułą przepasanych, z których jeden śpiewa opowiadanie Ewangielisty, drugi słowa Chrystusa, a trzeci w tonie wyniosłym słowa: Judasza, Piłata, innych osób — i tłuszczy żydowskiej. Na słowa: »Oddał Ducha!« wszyscy upadają na kolana, a wśród milczenia z rozczuleniem dziękują Zbawicielowi za śmierć dla ludzi podjętą. Kościoł temi obrządkami przypomina nam chwilę śmierci naszej — chwilę nader krótką, ale stanowczą, od której los szczęśliwej lub nieszczęśliwej wieczności zawisł. Gotujmy się do niej przez szczerą pokutę — a przy żywej pamiątce ukrzyżowania Bożego wołajmy: »Wspomnij na mnie Panie, w królestwie Twojem.«

---

# O Wielkiejnocy.

Zmartwychwstanie Chrystusa, grunt wiary, podstawa nadziei przyszłego żywota i ciał zmartwychwstanie, najmilszą jest dla serca chrześcijan tajemnicą, ztąd też doroczną jego pamiątkę kościoł z największem weselem i uroczystością obchodzi, i do równego wesela wzywa swe dziatki. Po wszystkich pieniach kościelnych wielkanocnych rozlane są uniesienia radości. Alleluja! stokrotnie się w nich powtarza. Przez całą oktawę w dawnych wiekach trwała uroczystość Wielkiejnocy, dziś chociaż dwoma tylko uroczystemi dniami ograniczona, w modłach przecie kościoł i w dni powszednie dawny obrządek zatrzymał.

Uroczystość Wielkiejnocy zaczyna się od Resurekcyi. Wspaniały ten obrządek po większych kościołach odbywa się o północy. Po prześpiewaniu psalmów u grobu Zbawiciela, celebrujący wynosi N. Sakrament z grobu, potem odprawia się procesya, trzy razy kościoł obchodząc z pieśniami stosownemi. Na czele procesyi niosą krzyż stułą czerwoną przepasany, figura Chrystusa zmartwychwstałego z chorągwią w ręku, i świeca paschał paląca się. Oznaczona w tem jest historya męki i chwalebnego

zmartwychwstania. Chorągiew jest znakiem zwycięztwa Zbawiciela nad piekłem i śmiercią; paschał, oznacza iż Chrystus jest światłością świata, procesya zaś wyraża wielki tryumf i radość wiernych. Po procesyi kapłan podnosząc figurę krzyża, po trzykroć ogłasza Zmartwychwstanie Chrystusa, mówiąc: »Powstał Pan z grobu« na co kler odpowiada: »który za nas na krzyżu cierpiał.« N. Sakrament stawia się na swem miejscu, a tymczasem odprawuje się jutrznia, która zaczyna się od słów: »Powstał Pan z grobu.«

W dawnych wiekach chrześcianie po resurekcyi witali się pocałowaniem powtarzając: »Zmartwychwstał Pan.« Ztąd poszło winszowanie świąt wielkanocnych.

---

## O błogosławieniu baranka, jaj i innych pokarmów na Wielkanoc.

Chwalebny zwyczaj u chrześcian trwał i trwać powinien — zwyczaj błogosławienia pokarmów przed spożyciem onych; bo z przykładu Chrystusa bierze on swój początek. Na wielu miejscach Ewangelii czytamy o błogosławieniu przez Zbawcę pokarmów, gdy je miał pożywać, lub innym dawał. Przez błogosławienie pokarmów wyznajemy, że boskim są darem, i że nie z chucią jak zwierzęta, bez myśli na najwyższego dawcę je przyjmujemy, lecz z potrzeby, dla zachowania zdrowia i życia — więc na chwałę Boga powinno się je święcić. Zwyczajna modlitwa, która się przed stołem czynić powinna, jest: »Błogosław Panie nas i te dary twoje, które z szczodrobliwości twojej pożywać mamy.« Czyni się także znak krzyża świętego — o czem jeszcze ś. Cyryl przed tysiącem lat mówił: »Gdy jesz, lub pijesz, uczyń znak krzyża świętego.« — To jednak błogosławieństwo, którem każdy chrześcijanin powinien stół święcić, jest prywatne — a uroczyste błogosławieństwo należy do kapłana, i zwykle na Wielkanoc się zachowuje.

Przy błogosławieniu baranka w dniu tym przypomina się, że Jezus Chrystus jest naszym barankiem, bez zmazy, który i grzechy nasze zgładził i daje nam siebie na pokarm duszy w N. Sakramencie.

Podług dawnego zwyczaju nie tylko baranek, lecz i inne pokarmy poświęcają się na Wielkanoc. Przyjęty zwyczaj ofiarowania przez gospodarza podzielonego jaja, znaczy pewno jedność chrześcijan w mnogich członkach; jest to przechowanie dawnego zwyczaju Rzymian, którzy nawet w pogaństwie jeszcze od jaj zaczynali uczty. Ztąd powstał zwyczaj farbowania i upiększania jaj i rozdawania ich w podarkach sługom, dzieciom i znajomym.

---

# BÓG WSZYSTKO WIDZI.

Kończył się jarmark w Mościskach — dzień był wilgotny i zimny — jak to najczęściej w jesieni — a tuż przy rynku w gospodzie widać duży ogień na kominie, i świeczka za okratkowanym stołem już błysnęła — i uśmiechająca się do wszystkich karczmareczka ustawia z brzękiem kieliszki i szklaneczki — a w drugim kącie dwóch żydków naprzemiany skrzypce i basetlę stroją. — Na widok tego miłego dla przeziębłych komina, na brzęk i odgłos tych jarmarcznych wabików — izba napełniać się zaczyna — bo tu gospodarz musiał dobić z drugim ugodę o krowę, i faktorowi, co nieproszony wmieszał się do sprzedaży, porękawiczne wypłacić; tu gospodyni przyszła poracho-

wać wzięte za płótno pieniądze i za pół ceny oddać kurczęta tej żydówce, która przez cały jarmark podszeptywała jej ciągle, aby utrzymywała się przy wyższej cenie, a która biorąc teraz za pół darmo nie sprzedany towar, żąda jeszcze odstąpienia paru dudków za życzliwe serce.

Zchodzą się i parobcy o nową służbę z gospodarzami ugodę czynić — spoglądając z uśmiechem na rzępolące skrzypeczki; wsuwają się i dziewczęta, niby dla przypatrzenia się przy świetle — kupionym w kramikach fartuszkom i kwiatkom świecącym, i czerwonym koralikom — i wchodząc chowają się za płachty matek, albo własnym rańtuchem kryją na wpół oczęta. Każdy wstydząc się w duszy zakończenia jarmarku w karczmie, sam przed sobą chce się usprawiedliwić i szuka przyczyn i szuka wymówek — a ukrywa prawdziwe powody.

I szmer cichy z początku; gromadki podzielone kończą sprzedaże, umowy — aż szynkarka niecierpliwa zachęcać zaczyna, aby kupna oblewać gorzałką — i częstować zgodzonych — i kumostwa kojarzyć — i powaśnionych godzić. — I oto już kieliszek z ręki do ręki przechodzi, z nim głośniejsza rozmowa; już nawet i gosposie szklaneczki

biorą z oporem niby — a dziewczęta krzywiąc się dla zwyczaju, z zakrytego fartuszkiem kieliszka smakują — a szynkarka patrzy im wszystkim przenikliwie w oczy i liczy chwilę, kiedy podwójną kredką za każdą kwaterkę dwie zapisać będzie mogła; — i do częstunku zachęca i kredytować gotowa, byle pili dużo — dużo pili! —

A aniołowie stróże tych wszystkich biednych ludzi zbałamuconych przez podszepty złego — stanęli smutnie zdaleka za oknami, i oczy spuścili — i pewnie modlą się do Boga za grzesznych! — A zły duch kręci się niewidzialny po izbie — i cieszy się bardzo, i kłóci sąsiadów i gniewa kumoszki — i do swawoli namawia — zapisuje dla piekła oddane sobie duszyczki, — i dzieli się na setne cząsteczki — i do wódki się mięsza, — aby z wódką dostać się do głowy, do serca pijących; to znów wyskakuje przez oczy iskrzące rozpustą lub gniewem — przez ręce grożące kułakami — przez usta miotające sprosne wyrazy — i znowu z tych cząstek łączy się w jednę całość, staje w środku tańczących — i kręci nimi — i ćmi im w oczach — i cieszy się — cieszy tak bardzo, że ma już piekło na ziemi! —

Wtem drzwi się szeroko rozwarły, a schylając głowę dla łatwiejszego ich przejścia — wszedł do izby obcy, urodny mężczyzna. Miał na sobie, nieznanego w tych stronach kroju, sukmankę granatową, wyszywaną ponsowemi sznurkami — pod nią na białym sukiennym kaftanie odznaczał się pas skórzany szeroki, z mnóstwem kółek, łańcuszków, z torebką na schowanie i z zawieszonym cygankiem — i z przyczepioną fajeczką, kołnierz od koszuli wyszywany, zapięty miał guzikiem z Matką Boską Częstochowską, włosy za ucho zczesane nie zakrywały mu czoła, a czapeczka z czarnym baranem i pawiemi piórami, zgrabnie na bakier była włożona.

Wchodząc do izby zdjął czapkę prawą ręką — stanął — spojrzał dokoła i głośno, wyraźnie powitał wszystkich, wymawiając: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“

Na imię to święte — na to życzenie — djabeł schował się w komin — a wszyscy przytomni zdjęli czapki z uszanowaniem i odpowiedzieli: „Na wieki wieków.“ — I ucichło na chwilę — zrobili miejsce przybyszowi, on przeszedł wolnym krokiem, usiadł na ławie za stołem; położył przed sobą podróżną torbę i zawołał: Hej pani gościnna, każcie tam dać owsa i siana chłopcu dla

koni — a nam zagrzejcie kwartę piwa, bo człowiek na wskroś przeziębły; — i obrócił się do siedzących obok siebie gospodarzy, którzy ciągnęli z rozpoczętej kwarty anyżówkę.

— Kto to kiedy zaznał takie zimna w jesieni — ledwo człowiek zdążył zebrać jarzynę, a tu już mrozy jak w grudniu. — Oj biada, biada na świecie, wyraźnie Bóg karę zsyła na ludzi — kiedy tu zorać pola, kiedy zasiewać!

— U nas na Podolu, ozwał się obok siedzący gospodarz, prace się ukończyły — bo nie było co zbierać — robota byłaby się nie opłaciła — tośmy spaśli żyto i pszenicę bydełkiem a resztę przyorali — i mało kto miał co zasiewać, czekają grunta na jarzynę, a niemając paszy dla bydła, przypędziliśmy oto na jarmark. — Oj biada nam, biada! —

— To u nas przecie nie tak źle było? —

— A zkądeście panie bracie.

— Ja, od Krakowa — osiadły na gospodarstwie — alem wychował już syna do pracy — to sam się trudnię furmanką i oto woziłem do Lwowa towary — a teraz wracam do domu. Chciałem zdążyć na jarmark tutejszy, aby z sześciu koni moich parę odmienić — a może parę jeszcze dokupić —

ale takie złe drogi, że oto drugi dzień jedziemy ze Lwowa, i człowiek się poniewierał i ziąbł do szczętu.

— Kumie Grzegorzu, rzekł znany nam już Bartłomiej Podolak do swego sąsiada zcicha — może go poczęstujemy? — a widząc przyzwolenie, obrócił się do Krakowiaka i podając mu jednę z nalanych świeżo szklaneczek — powiedział: Prawdziwa żytnia anyżówka, rozgrzewa jak ogień — skosztujcie, panie bracie. — Krakowiak jak oparzony usunął rękę — i pocichu, znak krzyża robiąc na piersiach, powiedział:

— Bóg zapłać wam gospodarze — alem ja przysięgał, że wódki pić nie będę — i od tego czasu jak imię Wojciecha . . . stanęło w księdze wstrzemięźliwości, jeszcze kropelka trunku nie postała na ustach jego.

Na te słowa gospodarze spojrzeli po sobie, kilku spuściło oczy — inni się obrócili do muzyki, aby tego nie słyszeć, co Wojciech mówił — a Grzegorz rzekł półgłosem:

— Jam też wpisany, ale tylko na mierne użycie trunku — ale przecież ludzie powiadają — że już przysięga ustała.

Przysięga! zawołał z przerażeniem Wojciech — a kiedyż to przysięga ustać może? — czy to ją kto stanowił, aby ustała, czy to

ją kto nadał, aby mógł odebrać? — przysięgę nasze własne usta uczyniły Bogu — nasze własne serca jemu ofiarowały — a któż może odebrać Bogu, co jemu dane było z naszej dobrej woli! — Kto to tak mówi? — o niech tu stanie, niech mi spojrzy w oczy! ja wam pokażę, że zły duch w nim mieszka i mówi przez niego.

Na groźnie wymówione te słowa wszyscy się obejrzeli ciekawie — i otoczyli stół do koła, przy którym Wojciech siedział — a on uniesiony, ciągnął dalej. —

— Bracia moi, jam bywalec po świecie, nie mało kraju przejechałem, nie mało widziałem ludzi — bo to człowiek i w Warszawie jak w domu — w Poznaniu znajomy — do Kijowa wie drogę i w Odesie już kilka razy składał towary. — Miałem czas przypatrzyć się ludziom i obyczajom i poznałem, że tam najlepiej się wiedzie, gdzie ludzie najwięcej kochają Boga, najwierniej służą jemu i przykazań jego najświęciej strzegą. A przecież każdy z nas ledwo mówić zaczął, to już go matka pacierza uczyła, a przy pacierzu przykazania Boskie powtarzać kazała — a jakież jest to drugie przykazanie? czy wy go znacie? i obrócił się do Grzegorza.

— A jużci znam, wszakżem katolik, odpowie Grzegorz — „Pierwsze: nie będziesz miał cudzych Bogów przedemną — Drugie: nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno.“

— A wiecież wy co to drugie przykazanie znaczy? — pięknie nam to niedawno ksiądz proboszcz na nauce tłumaczył — ja tak powtórzyć nie potrafię — alem przecie wszystko zrozumiał — ba, wiedziałem to jeszcze małem będąc chłopięciem, kiedym się w szkole katechizmu uczył. „Nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno“ — to znaczy najprzód, aby fałszywie nie przysięgać, tylko wprawdzie a sprawiedliwości; znaczy powtórnie, aby nadaremno nie szarzać imienia Bożego, jakto niektórzy mają w zwyczaju — co słowo „jak Boga kocham,“ „przysięgam Bogu“ — „dali-Bóg“ — a w sercu wtedy ani miłości, ani prawdy nie ma, i dobrowolnem życzeniem oddalają od siebie łaskę Boską. — Otóż trzeci raz jeszcze to przykazanie znaczy, aby lekkomyślnie ślubów nie czynić, przysięgą się nie obowiązywać, ale kiedy już raz dobrowolny ślub uczynisz, na rzecz godziwą przysiężesz — niechże to imię Boskie wezwane wtedy na świadectwo, nie będzie wezwane nadaremno,

dotrzymaj święcie obietnicy swojej — i prędzej życie utracić bądź gotowy niż przysięgę naruszyć! bo Bóg krzywoprzysiężców do dziesiątego pokolenia karać będzie! —

— Oj prawdać to, święta prawda! dodała Pawłowa z pod Przemyśla, spoglądając z ukosa na męża swojego, co już trzecią półkwartówkę kończył — a od szóstej pewnie go odciągnąć nie miała nadziei — i nam to ślicznie jakiś zakonnik w Kalwaryi na odpuście wykładał — aż się wszyscy ludzie popłakali — a leśny z naszego sioła to pobladł jak chusta — bo on to podobno najpierwszy przysięgał i najpierwszy zgwałcił przysięgę.

— A wiecie kumo co się z nim stało? — przerwała jej sąsiada — oto we dwa tygodnie po odpuście jak się upił na weselu Iwana — wódka się w nim zapaliła i w najokropniejszych bolach umierać musiał.

Pawłowa westchnęła głęboko, i obejrzała się znowu w drugi kąt izby, gdzie nieprzytomny już Paweł drżącą ręką podnosił do ust spieczonych szklanicę, a spotkawszy wzrok żony pogroził jej ściśniętą pięścią — rzucił słowo przekleństwa i wśród szyderstwa otaczających go parobków przewrócił się na ławę.

Biedna kobieta spuściła głowę — łza boleści stoczyła się niepostrzeżona na białą płachtę, którą otaczając głowę byłaby chciała ukryć wstyd swój przed oczyma przytomnych. A kuma nie zważająca na to, mówiła:

— Albo i wam, jak to było, zaczęło lepiej się powodzić od czasu, jak się wasz zapisał na wstrzemięźliwość.

— Prawda boć i przez dwa lata tak nam Pan Bóg błogosławił; kupiliśmy parę koni, i bydełko mieliśmy już chędogie — i on sprawił sobie porządny przyodziewek i mnie bekieszkę z barankami, i chatę wylepiliśmy, sadek założyli koło domu; do czego się było tylko dotknąć, to wszystko się udało, wszystko powiodło — wyraźnie Bóg błogosławił.— Ale też od tego dnia, jak go źli ludzie napowrót do wódki wciągnęli — zaraz jakby uciął — wszystko się na przekorę dziać poczęło — upadło nam parę wołów — krowy zabłąkanej w lesie nie miał kto odszukać — i wilki ją zjeść musiały — a druga tak wynędzniona, ledwo kieliszek mleka daje, bo przeszłej zimy nie miała paszy, — na pniu zboże żyd zabrał za długi; strzechę na sieczkę rznąć musieliśmy — i tem ledwie do wiosny dociągnęli. Ale jakteż teraz wyglą

da chata i stajenka! ze wszystkich stron zacieka po najmniejszym deszczu — jakże to w zimie będzie! — A w chacie — żal się Boże wspominać. — Piec, cztery gołe ściany i trochę na posłanie barłogu. Przyodziewek jego, i chusty moje, i domowe porządki, i garnuszki i ryneczki — wszystko poszło na wódkę do żyda, i teraz idzie każdy krajcar w pocie czoła przezemnie zapracowany, a jak dać nie chcę..... oj biednaż moja dola!

Płakałam ja ciężko, kiedy Pan Jezus maleńkie jeszcze zabierał mi dziatki do nieba — ale on wiedział co robił, niechnoby się były tej biedy i tego zgorszenia doczekały. Na to wspomnienie łzy rzęsiste puściły się z oczu biednej Pawłowej — a sąsiadka jej rozżalona, także łez parę otarłszy fartuchem, mówiła do niej:

— Uspokójcie się kumo, na co się to przyła zdrowie marnować próżnym frasunkiem, pomyślcie lepiej, czyby to jako nie można zaradzić złemu.

— Oj myślałam ja już nieraz, myślałam, dla tego z nim chodziłam na odpust do Kalwaryi — i do cudownego Pana Jezusa z Kobylanki go ofiarowałam. Ale to jeszcze nic nie pomogło — wyraźnie łaska Boska go

odstąpiła. Czy wiecie co mi powiedział, gdyśmy z odpustu wracali i jam mu przedstawiała, że Pan Bóg za złamanie przysięgi nas karze — oto powiedział: bajesz kobieto, bajesz, alboż to Pan Bóg wie o tem? — gdzieby on taki wielki, na mnie nędznego miał patrzeć. I jeszcze inne brednie powtarzał, Panie mu odpuść, on to nie ze swojej głowy wyciągnął — ale źli ludzie go nauczyli.

Przez czas tej na wpół głośnej dwuch kumoszek rozmowy Wojciech zajadał smacznie grzane piwo swoje z nadrobionym chlebem — przekąsając je sporym kawałkiem wędliny wyjętej z podróżnej torebki — a słuchał użaleń nieszczęśliwej Pawłowej, potrząsając z litością głową. Kiedy ona znów z żalu mówić przestała, a piskliwe skrzypk umilkły dla wypoczynku — Wojciech widząc wkoło siebie zgromadzone przychylne kółk słuchać go rade — powtórnie mówić rozpoczął:

O tak, bracia moi, Bóg ciężko karze krzywoprzysięzców, bo jest sprawiedliwy — karać musi, bo wszystko widzi. Nam si to zdaje niepodobnem, a przecież tak jest tak być musi koniecznie — nam by to było niemożliwem, bo my jednego zdziebełk

trawy ziemi wyprowadzić nie umiemy naszym rozumem, bez woli Boskiej, — a Bóg jest wszechmogącym.

O wierzę temu bardzo, że Bóg wszystko widzi, ta wiara od dziecięcego wieku w moje serce wszczepiona, wiele, wiele dobrego przyniosła mi w życiu, od wielu złego ustrzegła. I gdybym tylko miał czas i miejsce po temu, a życie wam moje mógł opowiedzieć, tobyście się sami przekonali najlepiej.

— No to opowiedzcie, odezwał się Bartłomiej, któremu się szczerze Krakowiak podobał.

— Opowiedzcie, naglił Grzegorz obok siedzący.

— Opowiedzcie, wołali parobcy i dziewczęta ciekawe.

— A tańce — a ochota, mówił przekornie Wojciech.

— My słuchać wolimy — bo zła muzyka, ani kozaka, ani kołomyjki zagrać nie potrafi.

— A wódka? której sam widok przestrasza mnie pomiędzy wami, i mowę odbiera.

— My już dziś przestaniemy, prawda kumie Grzegorzu? znów mówił Bartłomiej.

— Pani karczmarko, bierz twoje półkwa[r]tówki i kieliszki, wołał Grzegórz niecierpl[i]wy, i precz z wódką na dzisiaj.

Karczmarka temu wezwaniu nierada by[ła] posłuszna, mruczała pod nosem, przecho[]dząc koło bardziej nałogowych.

— Cóżto jeden Krakowiak ma wam prze[]wodzić, alboż to wy nie Rusiny? — że tan[] pod Krakowem wódki nie piją — ale tu w Mościskach piją. — Co kraj, to obyczaj — a jeszcze jaka wódka — w samym Lwowi[e] takiej nie widziano nigdy.

— Co ty tam pleciesz, co? przerwał Woj[]ciech żydówce — czy to w twoim talmudzie napisano, że inne niebo ma Pan Bóg dla Rusina, inne dla Mazura, a inne dla Krako[]wiaka za nagrodę — inne piekło na karę dla każdego? — O cicho! — przed Bogiem nie ma i nie będzie żadnej innej różnicy — tylko różnica złego od dobrego.

— Cicho, karczmarko, cicho! krzyknęła młodzież — bo jak nas będziesz markocić, nigdy tu nie zajrzymy, choćby po ogień do fajeczki to pójdziemy dalej, do drugiej karczmy, i rzucili się tłumnie i gwarnie jak zwykle młodzież, do zestawiania szklanek i półkwartówek ze stoła, a możeby byli i samą karczmarkę z jej własnego domu wyrzucili,

gdyby nie Wojciech, który chcąc sprawę załagodzić, kazał postawić garniec doskonałego Żurawickiego piwa, co to choćby przed Ochocimskiem się nie powstydzi — i wszystkich do niego zaprosił.

Szczęk szklanek i szmer ogólny obudził Pawła, podniósł się z ławy, przeciągnął leniwo i zbliżył ku Wojciechowi, gdzie żona posadzić go rada, prędko mu miejsce znalazła, i sama się obok niego usadowiła; — Wojciech tak mówić zaczął:

Trzeba wam najprzód wiedzieć, bracia moi, że jestem sobie zamożny gospodarz, przednowku się nie boję choćby w najgorszym roku i jeszcze sąsiadom wygodzić mogę w potrzebie. Mam rok w rok dobrze sprawioną rolę, bydełko jak złoto. Mam chatę chędogą i sadek przy domu, i trzodę nie małą. Dzieci uczciwie wychowałem czworo; starszy syn około roli już pracuje, córce porządne dałem wiano, a do dwóch młodszych jak przyjdą swaty, to się znajdą w skrzyni nowe talarki i Wojciech się ani córek, ani wiana nie powstydzi, choć coś odłoży na porządki dla przyszłej synowej, na starość dla siebie. Widzicie więc, żem, Bogu dzięki, nie ubogi — ale największem bogactwem mojem jest dobre imię u ludzi,

i czyste sumienie przed Bogiem. A teraz powiedzcie mi, czybyście uwierzyli, że ten sam Wojciech znany w całym okręgu — z całej okolicy najzamożniejszy gospodarz — kiedyś chłopięciem stał w obdartej koszuli, przyboś podpłotem i żebrał o kawałek chleba, że był najbiedniejszą sierotą na świecie? Tak jednak było. — Ledwie zapamiętam ojców moich, — chodzili po wyrobku i oboje jakoś w jednym tygodniu na straszliwą gorączkę pomarli. Kilka gałganków po nich zostających zabrała gospodyni, gdzieśmy na komornem byli i za to pogrzeb sprawiła; mnie wypędzili z domu, nie umiałem jeszcze pracować, byłem chory i zabiedzony, więc chodziłem od chaty do chaty po żebrach — a kiedym się już w swoim naprzykrzył siolc, umyśliłem iśdź dalej, szukać litościwych ludzi, bom widział jak dużo jedzenia i pieniędzy dziady z innych przynosiły wiosek.

Jednego dnia pogodnego o świtaniu wybrałem się więc w drogę, niedługie było wybranie, torba próżna na plecy i kijek w rękę. Nie miałem kogo żegnać, z kim się rozstawać, bom był sam jeden na świecie, tylko przechodząc koło cmentarza, zmówiłem wieczne odpocznienie za dusze rodzi-

ców, a pacierz poranny przed krzyżem, co stał na rozstajnych drogach, bo mię matka jeszcze umierając napominała, abym żadnego dnia bez pacierza nie rozpoczynał, jeżeli chcę, żeby mnie Pan Bóg i w dniu tym i w życiu całem błogosławił. Szedłem ciągle drogą, niewiedząc którędy i gdzie mnie ta droga doprowadzi, i już dobrze było z południa, kiedym zmęczony i zgłodniały dojrzał za drzewami wieżyczkę od kościołka, zupełnie do tej podobną, która na naszym stała kościele. Pospieszyłem ucieszony i oto niedługo ujrzałem przed sobą wioskę do naszej podobną, tylko porządniejszą trochę, i takież chaty, i takąż plebanijkę, ale czego u nas nie było, obok plebanii dom obszerny z ogrodem, z którego wesołe śpiewy po całej rozlegały się wiosce. Choć byłem bardzo głodny, bardzo zbiedzony drogą — przecież ciekawość mnie zdjęła i przysunąłem się pod otwarte okna domu tego.

Cóżem tam zobaczył? W dużej, porządnej izbie na ustawionych rzędami ławeczkach siedziało z jednej strony kilkunastu chłopców, a z drugiej tyleż dziewcząt, i patrzyli wszyscy na ścianę wprost okna będącą, gdzie wśród naśladowanych obłoków widać było na znaku Trójcy Świętej oko

Boskie odmalowane i wkoło napis — alem go przeczytać nie umiał, tylko słyszałem pieśń przez dzieci spiewaną, której się potem sam nauczyłem.

— A jakaż to pieśń była? śpytała Grzegorzowa Anusia, najpierwsza różańcowa śpiewaczka? —

— Pieśni mówić trudno, chyba śpiewać, a jam już stary do śpiewania.

— Sprobójcie nótę — może znana, to wam dopomożemy.

— Oj znana to pewno, bo na tę nótę śpiewają pieśni na Boże Ciało.

— No to zacznijcie, prosiły inne dziewczęta, odkrząkując do śpiewu z kolei.

A Wojciech niedając się długo prosić, wychylił piwa szklaneczkę i tak zaczął:

Czy w cieniach nocy, czy w morza głębinie,
Żadne twe słowo — żaden czyn nie zginie,
I myśl ukrywać napróżno się biedzi,
Bóg wszystko pozna, bo Bóg wszystko widzi.

Jedna do nieba tylko wiedzie droga,
Nią idź kochając nade wszystko Boga,
A kto imienia Boskiego się wstydzi,
Bóg go odepchnie — bo Bóg wszystko widzi.

On w przykazaniach powiedział do ciebie:
„Kochaj bliźniego jak samego siebie.“

Jeśli twe serce brata nienawidzi,
Bóg karać będzie, bo Bóg wszystko widzi.

Próżno, ach próżno pragniesz ukryć jemu,
Jeżeli krzywdę wyrządzasz bliźniemu,
On kocha cnotę — niecnotą się brzydzi,
Ludzi omylisz — a Bóg wszystko widzi.

Lecz znów gdy żyjesz według bożej woli,
Chociaż w ubóstwie, choć w ciężkiej niedoli,
Niech cię świat cały potępia, niech szydzi —
Bóg ci nagrodzi — bo Bóg wszystko widzi.

Dzieci śpiewały i patrzały w odmalowane oko Boskie — i ja patrzałem i zdawało mi się, że to sam Pan Bóg patrzy — i widzi wszystko — i widzi mnie biednego — i zacząłem się modlić głośno i prosić tego Boga, aby się zlitował nademną biednym sierotą. Pewno, że nie to malowane oko, bo było tylko przez ludzi na ścianie zrobione dla przypomnienia, ale Bóg z wysokiego nieba, co wszystko widzi, zobaczył nędzę moją — i wysłuchał modlitwy.

Pomiędzy siedzącemi dziećmi przechadzał się organista, ich nauczyciel, bo to była szkółka — usłyszał że ktoś mówi za oknem, zbliżył się do mnie i spytał po co tu przyszedłem. Jam się okropnie zaląkł,

i w płacz, co on widząc kazał przyjść do izby, pogłaskał, uspokoił, a potem o wszystko wypytał. Dali mi jeść, dali odzienie, i przyrzekli, że jeźli się przekonają, że to prawda com mówił o śmierci rodziców i opuszczeniu mojem, to mnie wezmą do siebie zupełnie, bo byli-to bardzo litościwi ludzie, a dzieci nie mieli swoich.

Zostałem więc u nich, uczyłem się z dziećmi w szkole, a po szkole pomagałem organiście około domu, i tak mi życie szło szczęśliwie, jakby u własnych rodziców.

Do szkółki tej przychodził codziennie po południu ksiądz proboszcz i sam nas katechizmu uczył, i wiele ciekawych rzeczy rozpowiadał: jak to Pan Bóg świat stworzył — jak Ewa jabłko zjadła zakazane, jak był ten straszny potop świata, i wiele innych. Tośmy też go tak kochali wszyscy, że kiedy raz zachorował, cała szkółka z dobrej woli przez mszę świętą krzyżem leżała i wymodliła zdrowie jego u Boga. Najśliczniej jednak mawiał, jak to sam Jezus Chrystus po ziemi chodził, jak dobrze czyniąc i do dobrego ludzi nawracając, przez całe życie swoje nigdy nikomu krzywdy nie uczynił — i tym nawet dopomagał, co mu źle życzyli, za tych się modlił, co go na śmierć

okrutną skazali. Tem życiem Pan Jezus pokazał ludziom drogę do nieba, do królestwa swego, gdzie wieczność czeka wybranych — gdzie osądzi i nagrodzi wszystkie czyny człowieka — bo on zna wszystko, wszystko widzi. I mówił nam jeszcze, że kto chce być dobrym, niech tylko przy każdej pokusie złego pamięta o tem, że Bóg go widzi — przy każdej myśli niegodnej przypomni, że Bogu tajną nie jest — a dobrym być potrafi. Wziąłem do serca te słowa, przy pierwszej spowiedzi przyrzekłem sobie zawsze o tem pamiętać i jakoś Bóg mi pobłogosławił. Poduczyłem się porządnie w szkole, za co zawsze przy pacierzu najwprzód Bogu, a potem dobrym ludziom wdzięczny jestem, bo mi z nauką jakoś raźniej na świecie. Już człeka i nie tak łatwo kto oszuka, i już sobie wszędzie dać radę potrafi, i więcej rozumi od drugich, i w niedzielę oprócz modlitwy, może też sobie i domowym co zabawnego przeczytać, albo opowiedzieć co się z książki dowiedział. A jeszcze teraz, choćby i na sejm jaki pojechał, to się oszukać nie da tak łatwo, bo przecież coś zrozumie, i nie jest jak w rogu.

— A słyszycie Józefie, mówiła gospodyni do męża swego, słyszycie, a kiedy Iwaś pro-

si ze łzami, to przecież go do szkoły puścić nie chcecie.

— Po co Iwasiowi szkoła? odrzekł Józef powoli, niech on się nauczy chodzić około roli a bydła, to dla niego dosyć, jemu nauka inna niepotrzebna.

— Źle mówicie gospodarzu, przerwał mu Wojciech, nauka każdemu się przyda. Nie mówię ja abyście cały rok koniecznie wszystkie dzieci posyłali do szkoły, ale póki do roboty niesposobne, w szkole się uczyć mogą, a potem całą zimę zamiast leżeć za piecem i płatać figle i próżnować, toć łepiej, że o Panu Bogu usłyszą. A cóż to uczą w tej szkole, której się tak boicie? Czy to do złego prowadzą? Tam uczą jak Boga chwalić, rodziców i starszych szanować — tam uczą posłuszeństwa i pracy.

— Aleście nam życia swego nie skończyli, zagadnęła Pawłowa.

— Powinienbym skończyć tem słowem, że szkoła mnie do dobrej doli dopomogła. Całe życie to oko Boskie, które patrzy na mnie, było mi w pamięci.

Po śmierci organisty, za którego duszę modlę się zawsze, poszedłem w służbę do zamożnego gospodarza z tej samej wioski. Kiedy mi się pracować nie chciało, spoj-

rzałem ku niebu, jakby zawstydzony, że oko Boskie mnie widzi, i wracałem do zajęcia z podwojoną gorliwością; kiedy drudzy namawiali aby iść paść na cudze łąki, z cudzego lasu wykradać drzewo, jam spojrzał znowu ku niebu i przypomniał sobie, że i w najciemniejszej nocy Bóg dopatrzyłby krzywdy bliźniego, i odrzucałem złe rady.

Gospodarz miał córkę urodną i pracowitą; była dziewczyna na całą wieś najbogatsza, i najpiękniejsza, i mnie do serca przypadła, alem nie śmiał prosić o nią, bo byłem tylko biednym sierotą, bez roli, bez chaty, bez zasobu — myślałem tylko, Bóg wszystko widzi — a jam mu wierny, i zasługiwałem się ojcom pracą, statkiem, pilnością; odrzucili bogate swaty, a mnie dziewkę oddali i cały dobytek, i na swojej mnie roli osadzili, bo była jedynaczką. Da Pan Bóg zapust doczekać, dwadzieścia już lat będzie, jak żyjemy z sobą zgodnie, uczciwo, i dzieci po Bożemu wychowaliśmy, i do majątku przyszliśmy pilnością, uczciwością a pracą — pamiętając zawsze, że grosz cudzy nie zbogaci, bo Bóg wszystko widzi.—

Jeszcze od pięciu lat, kiedyśmy się na wstrzemięźliwość zapisali — i święcie przysięgi naszej nauczyli się pilnować — jakby

podwójną ręką Bóg dopomagać nam zaczął, i dotąd dopomaga, bo on wie wszystko, bo on wszystko widzi.

Ależ już świeczka się dopaliła, a ogień przygasa na kominku, wam czas do domu, a mnie wypocząć z drogi potrzeba, więc bywajcie zdrowi. — Powstali wszyscy za Wojciechem, bliżsi mu rękę podali. — Paweł poskrobał się w głowę trochę, ale miał łzy w oczach, może z żalu za przewinienie, może w nadziei poprawy. Pawłowa cieszyła się w duszy tym widokiem i dawno nieznany uśmiech zawitał na jej twarzy. A Bartłomiej i Grzela umyślili zapisać się na zupełną wstrzemięźliwość, aby już pokusy do wódki nie było.

Wszyscy wychodzili weseli i swobodni z domu tego, gdzie jeszcze nigdy bez bitwy i skaleczeń jarmark się nie skończył — i gdzie pierwszy raz słowa prawdy, słowa miłości Boga obiły się o te ściany. Wszyscy byli kontenci i weseli, tylko karczmarka mruczała złośliwie na Wojciecha, a zły duch echem jej odpowiadał.

*W. T.*

## Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło.

---

Był to sobie dziad i babka. Kiedy jeszcze nie byli dziadem i babką, dziad nazywał się Marcinkiem, a babka była wtenczas Marysią. Marcinek umiał szewstwo, potem go wzięli do ułanów, a gdy powrócił do domu, odszukał stare kopyta, dratwy sobie nakręcił i dostąpił tego honoru, że robił buty dworskim kozakom i czeladzi; a że Marysia przy dworze sługiwała i także buty nosiła, — więc Pan Bóg dał na rozum, ludzie poraili, pani dała chleba i miodu i jednej niedzieli stało się — wesele. A jak się stało wesele, Marcinek stał się szewcem Marcinem, a Marysia Marcinową.

Dużo to już lat upłynęło, już Marcin posiwiał, do wsi z wojaczki przyniósł nogę kulawą i boki pokłute, to mu starości przysporzyło; Marcinowa nie miała gruntu, ni wiana, chodziła za najem pracować i tyle

zarabiała, że było z czego i komorne zapłacić, i perkalową spodnicę narzucaną ptaszkami i gałązkami dębowemi z jarmarku sprowadzić, i kożuch sprawić i kaszę osolić, i lampę przed obrazem Pana Jezusa zapalić. Dopóki byli młodsi i zdrowi, wszystko szło składniej i raźniej, a gdy przyszły latka na biedną głowę, Marcin nie umiał już dobrego buta uszyć, łatał stare obuwie sąsiadom; Marcinowa czesała len i konopie, nie sporo pracowała w ogrodzie, nie nagromadziła siana, nie szła żąć na kopy, i już nie jedna łata świeciła na jej kaftanie, a Marcin choć drugim buty łatał, sam nosił chodaki.

W ubogiej chacie Marcinów całym majątkiem było dwoje dzieci, Pawełek i Jagusia, któremi ich Pan Bóg pobłogosławił. Pawełek miał lat piętnaście, dziewczyna była młodszą o dwa lata od niego. Oboje czerstwi, zdrowi, pracowici i pobożni; bo Marcin choć nie w szkole uczony, ale w wojsku służył pod dobrym kapitanem, który surowo karcił wszelaką rozpustę, a Marcinowa przy dworze nasłuchała się pobożnych nauk od pani, i napatrzyła się jak to chcąc być pobożnym, trzeba żyć uczciwie, nie krzywdzić nikogo, pracować rękami albo rozumem, jak komu przeznaczono; być trze-

źwym i rzetelnym. Dzieci Marcinów nie chodziły nigdy do karczmy, bo Marcin choć dawny żołnierz i szewc, a jak to powiadają, że szewc bez wódki żyć nie może, niby jak ryba bez wody, to przecięż na Marcinie to się nie pokazało. Jeszcze wtenczas nie przysięgali na wódkę, a Marcinowie oboje ani do karczmy nie chodzili, ani w domu wódki nie pijali. To też i dzieciom nie zachciwało się tego obrzydliwego trunku, bo im nigdy nie podawano bułki lub chleba maczanego w gorzałce, jak to robią nierozsądne matki, niby od robaków, a przezto psują dzieciom młody żołądek i kuszą do nałogu.

Przykro to było rodzicom, że w ich wiosce szkółki nie było, bo chociaż przed kilą laty dziedzic szkółkę postawił i nauczyiela sprowadził, kosztowało go to nie mao, a wszystko było daremne. Wójt miejcowy był to ciemięga, ni do Boga, ni do udzi; umiał tylko na sprawę w karczmie apijać i bronić tego, co mu więcej dawał, am był ciemny jak w rogu tabaka, nie chciał eby drudzy więcej od niego umieli; a jaki ójt taka też i gromada.

Do szkoły dzieci nie posełano, pan naczyciela zapłacił i nareszcie odesłał zkąd

był przyjechał, pobożna gromada, co to przy pacierzu sierdzisto w piersi się bije, powoli rozkradła płoty przy obejściu szkolnem, poodbijała zamki, pozabierała drzwi i okna, niektórym już i podłoga się podobała, a gdy łajanie i pilnowanie na nic się nie przydało, osadził dziedzic w domku kogoś ze sług swoich, i szkoły więcej nie było.

Otóż Pawełek i Jagusia tyle mieli nauki, co w kościele zasłyszeli, a przyszedłszy do domu zawsze rodzicom nauki kazania powtarzając, wiedzieli może więcej niż niejeden organista.

Pod obrazkiem Pana Jezusa wisiał u Marcinowej krzyżyk mosiężny poświęcany, który dostała od konającej matki swojej. Ponieważ miała dwoje dzieci i oboje równo kochała, tak sobie powiedziała, że ten krzyżyk temu dam dziecku, które pierwsze z domu mego pójdzie między ludzi. Tymczasem codzień po pacierzu dawała ten krzyżyk chłopcu i dziewczynce do pocałowania, a przy całowaniu kazała im zawsze wymawiać słowa Chrystusowe: nie czyń tego drugiemu co tobie nie miło.

Zdarzyło się raz, że do swatów Marcinowej zajechał znajomy gospodarz z wioski o dziesięć mil odległej. Był to wieśniak za-

możny, bo trzeźwy, pracowity, oszczędny, a jak niektórzy mówią, jeszcze z polskich czasów, kiedy to złotówki mierzono na miarki, ojcowie jego zostawili mu nie jeden spory dzban talarów. Więc też było czem w gorszych czasach gospodarzyć, i bydełka się dochować, i własne roboty uprzątnąć, i na furmankę się nająć, to ze zbożem, to z dziegciem, to ze skórami, choćby i na trzydzieści mil drogi, Bartłomiej zawsze był gotowy.

Zjechawszy do swatów Marcinowej, gadu gadu, to o tem, to o tem, to o rodzie, to o znajomych, o podatkach, o soli, nareszcie zagadnął Bartłomiej, czy też nie znają u sąsiadów i kmotrów swoich zwinnego a poczciwego parobczaka, któryby przystał do niego na służbę? — Nie trudno było Bartłomiejowi odpowiedzieć, bo u swatów Marcinowej Pawełek był znany jak własne dziecko i we wsi jemu nie było równego. Więc gospodyni pokręciła główką i nie czekając długo prawdę wyznała i Pawełka mu nastręczyła. Jeżli rodziców będzie dobra wola, to go weźmiecie; — jest to chłopak młody, a jak to powiadają, szanowawszy dzień Boży i was Bartłomieju, co młode to durne, ale poczciwe chłopczysko. Pamiętajcie baczyć go

jak oka w głowie, bo to synek naszego swa
tania.

I wraz poszli do Marcinów, i rada w
radę na tem stanęło, że Pawełek Bartłomie
jowi był oddany na służbę.

Nazajutrz o świcie Marcinowa wstała
przygotować synowi na drogę bieliznę, Mar
cin naprawił mu buty, a gdy wszystko do
drogi było gotowe, tak ojciec wyprawi
syna między ludzi:

Pierwszy to raz synu porzucasz dóm ro
dzicielski na tak długo. Jeszcze nie zazna
łeś tego, co to opuścić rodzinną strzechę
jeszcze nie wiesz, co to tęsknota za ojcem
za matką, za rodzeństwem, za dobremi są
siadami; a teraz wszystko to przyjdzie! —
Będziesz obcy między obcemi, i będzie c
tęskno, do rodziny, do ubogiej jej chatki
do tej ławeczki, do tego bocianiego gnia
zda, przy którem się urodziłeś i wychowa
łeś! — do tego kościółka, w którym cię
chrzczono! — Wszystko co porzucasz bę-
dzie ci milsze od tego, co u ludzi znajdziesz
Tam wszystko obce, tu wszystko rodzime,
tam wszystko smutne, tu wszystko miłe, we-
sołe! — I ciężko będzie żyć z niemi! —
I uprzykrzy ci się służba i radbyś do nas
powrócić: ale wtenczas pamiętaj synu, że

i tam będziesz miał tego samego Ojca na niebie, który cię stworzył; ziemia, w której będziesz, z tego samego co ty kraju, a ci ludzie, to twoi rodacy, choć tobie nieznani. Przyjdzie czas, że cię pokochają, jeźli na to zasłużysz, i ty ich pokochasz i będzie ci z nimi dobrze. Tęsknota minie, boć to wtedy dopiero wieczny żal, kiedy człeka gdzie pogonią w cudze kraje, między swojemi zawsze się niby w domu. U rodziców milej ci było pracować, na służbie trzeba nie dojeść, nie dospać, słuchać rozkazania i łajania, bo człek się podejmuje robić nie to co chce, ale to co każą. Miej naturę ojca twego wojacką, który ani okiem, ani nogą nie mógł ruszyć inaczej, tylko tak jak pan kapitan kazał. I taki to dopiero żołnierz nazywa się wymusztrowany, i sługa taki nazywa się także niby wymusztrowany. A pilnuj synu tego, abyś zawsze dbał o dobro swoich gospodarzy. Jak oka swego szanuj i majątku ich i chudoby, rób lepiej niż dla siebie, a nie daj im krzywdy zrobić, bo twój ojciec za kapitana głowy nastawiał, a ty strzeż przynajmniej dobra swoich gospodarzy. Kochaj ich, nie oszukuj, nie zmyślaj, bo za takie rzeczy kapitan zaraz krzyknął: łżesz Marcinie! to człowiekowi aż w

piętach postygło, a oczy poczerwieniały od wstydu, a zakryć się nie można było, bo ręce wyciągnięte jak struny, muszą małym palcem opierać się na szarawarach. Toć najlepsza rada: idź prostą drogą, a nie zbłądzisz! a waruj się bardzo czynić im krzywdę w ich mieniu; lepiej samemu krzywdy zaznać, niż brać po swojej woli co cudzego. Cieplej przy własnym kaganku, niż przy cudzym kominku; miej sobie w pamięci tę przypowiastkę, i pamiętaj sobie, że u pana kapitana to kulka za to pachniała. — Kiedy pewnego razu uganialiśmy się po wojaczce, i stanęli w jednej wiosce kwaterą, dodnia wychodząc w drogę, ukradł żołnierz gęś u proboszcza, gdzie nocował. Kapitan doganiał nas w marszu, a gdy w tej wiosce do proboszcza na śniadanie wstąpił, dowiedział się o figlu żołnierza, nic nie obiecując, ruszył dalej, dogonił nas, a winowajcę wymacał. Cóż myślisz, co się stało? — myślisz że dostał ponaszemu trzewikami na podeszwę? — Oj nie tak na wojaczce bywało! Nazajutrz proboszcz się obudził, a u niego na bramie — wisi gęś oskubana i ten co ją skubał! — ale już nie miał czasu ugotować! — Surowa to pokuta; ale Pawełku, na to jest rada — nie ruszaj co cudzego! —

Uciekaj od namowy, nie chodź do karczmy, bo ztamtąd mało kto wychodzi z guzami, sukmana jego naciągnie smrodu, a dusza naciągnie próżniactwa i złych myśli. — Kochaj Boga, pracuj i strzeż sumienia, a będziesz miał poszanowanie u obcych i stanie ci tego za bogactwo. Teraz ruszaj chłopcze, nie marudź, boś ty przecię żołnierskie dziecko, a pan kapitan nie płakał, choć mu nogę krajano! —

Gdy ojciec skończył, matka poczęła błogosławić syna, obiecała go odwiedzieć z Jagusią na zielone świątki, bo w tej wiosce, dokąd Pawełek jechał, bywał wtenczas odpust; a potem zdjęła krzyżyk z przed obrazu Pana Jezusa i wieszając na szyi syna, mówiła mu: on ciebie strzedz będzie od wszelkiej złej pokusy, — a Pawełek całując krzyżyk, z nałogu wymówił: nie czyń tego drugiemu, co tobie nie miło. — Jagusia podała bratu kobiałkę z chlebem, słoniną i serem, a potem wszyscy odprowadzili go do Bartłomieja i już go długo nie widzieli; bo konie były gotowe i podróżnym pilno było w drogę, więc też zaraz wsiedli, zacięli i pojechali.

Markotno było Pawełkowi przez drogę, a markotniej jeszcze w obcej chacie. Pra-

cując, bał się by nie krzyczano na niego, że za mało robi; wracając do domu, bał się by nie zawcześnie było; w chacie nie wiedział gdzie usiąść, czy komu nie zawadza; przy obiedzie i wieczerzy nieśmiał jeść do syta, by sobie gospodyni nie krzywdowała; wszystkim chciał dogodzić, nikomu nie chciał się naprzykrzyć, więc też nieraz nasmucił się, nie dospał i nie dojadł, bo tak mu ojciec w nauce powiedział. Poznali później gospodarze swego nowego parobczaka, i dając mu nieraz dobre słowo, dodali mu ochoty i poznał nareszcie Pawełek, że są dobrzy ludzie na świecie i kochał ich jak swoich.

Z początku służba Pawełka była łatwiejszą, zostawał najwięcej koło domu; potem powierzano mu chudobę i wyprawiano w pole. Wtenczas pracując na polu, lub na łące, albo gdy jechał z końmi na noclegi, lub pasał je w niedziele i święta, widział różnych chłopaków wiejskich, poznał się z nimi i widział, że wszędzie są różni ludzie, że często rodzice nie tak uczą dzieci jak Marcin i Marcinowa, i nie wszystkie dzieci takie jak on i Jagusia.

Ludzie, którzy nie pilnie słuchają nauki w kościele, myślą sobie, że dosyć jest raz

ıa tydzień pójść na nabożeństwo i tam drzy-
nać podczas kazania, dosyć jest raz na
·ok wyspowiadać się i niby żałować za grze-
:hy, czasem pójść na odpust, jeść postną
strawę, i myślą jak to wszystko zrobią już
są dobrymi chrześcianami; a jak sprawią
świecę, lub chorągiew do kościoła, to już
m się zdaje, że wszystkie grzechy są im
odpuszczone i za to mogą już broić co się
podoba, pić, obmawiać, oszukiwać, kła-
mać, kraść, bo się już okupili. Nigdy nie
pamiętają na to, że Pan Bóg serca od nas
żąda, a nie ofiary; że kochać Boga, to zna-
czy pełnić jego przykazania; że być chrześci-
aninem, to znaczy żyć tak jak Jezus Chrystus
nauczał; że być pobożnym, to znaczy kochać
Boga nie udawaniem, ale uczynkami; że
trzeba oddać Bogu co Boskiego, a ludziom
to co ludziom należy; — że trzeba szano-
wać cudzą własność, bez pozwolenia wła-
ściciela nie brać co cudzego; że trzeba sza-
nować każdego osobę; że trzeba być wier-
nym sługą, pilnym najemnikiem, rzetelnym
rzemieślnikiem, nie trzeba kłamać, zapijać
się, kłócić, wylegiwać się pod piecem, lub
zasiadać w karczmie, kiedy Pan Bóg dzień
daje do pracy; nie pamiętają, że wszystkie
modlitwy, posty i ofiary zanic, jeżli niema

pokuty, poprawy życia. A jeźli takim ludziom Pan Bóg da dzieci, jakże oni mogą dać im dobry przykład, dobrą naukę, zachęcić do pracy, do porządku, do posłuszeństwa, do poczciwości? — U takich ludzi wszystko wolno, skrzywdzić pana, oszukać gospodarza, kłamać u sędziego, nie słuchać księdza, przeklinać, pić, za łby się wodzić i nosy sobie obdzierać, bo myślą sobie, że to kościelny w niedzielę wszystko z nich wykadzi, a jak w środy i piątki zjedzą placka z makiem, to już ich dusza czysta będzie jak kryniczna woda i prosto pójdzie do nieba. Obłudnicy!— czyż to dziś Bóg inny od tego, który powiedział: nie bierz imienia boskiego nadaremnie, czcij ojca i matkę, nie kradnij, i tak dalej? —

Pawełek wszedł między takich ludzi, którzy chodzili do kościoła, bili się w piersi, ale na tem kończyła się ich pobożność. Często musiał patrzeć na to, jak chłopaki i dziewczęta, pasąc razem bydło, wydajały krowy swoich gospodarzy, albo z gromadzkiego bydła po kolei jednego gospodarza dziś, drugiego jutro. Wtenczas Pawełek oburzał się i pokazywał im krzyżyk i przypominał słowa: nie czyń tego drugiemu, co tobie nie miło; ale to wszystko na próżno.

Nieraz na noclegach drudzy zaganiali konie na cudze łąki lub pola, cieszyli się z tego, że mogą pokryjomu dobrze napaść konie swoje i nie słuchali sumienia, które im mówiło, że to złodziejstwo. Pawełek smucił się, że to byli także chrześcianie, zostawał z końmi swojemi na pastwiskach, na których mu paść było wolno, upominał drugich, a oni szydzili z jego nauki i żartowali ze słów ewangelii, które Pan Jezus powiedział: nie czyń tego drugiemu, co tobie nie miło.

Z pomiędzy wszystkich największym swawolnikiem był Wojtek, najstarszy ze wszystkich młodych parobków wioski. Miał już może lat dwadzieścia kilka i od czasu jak zapamiętał, chodził po różnych służbach. Rodzice go maleńkim odumarli, więc sąsiedzi się ulitowali i wzięli Wojtka do pasania gęsi, to cieląt; ale jak Wojtek zaczął zbytki robić, napędzili jedni, napędzili drudzy, i tak wałęsał się od wsi do wsi, aż dotąd kiedy Pawełek przyszedł do Bartłomieja na służbę.

Wojtek i Pawełek byli tak do siebie niepodobni jak niebo do ziemi. Wojtek umiał pacierz, odmawiał dziesięcioro bożego przykazania, zdejmował czapkę przed każdą figurą, ale co niedzieli napijał się i

hulał w karczmie do północy, a na te hulki kradł w domu z przed gospodarskich koni, wynosił pszeniczkę ze stodoły do żyda, a jeżeli na noclegach wykopał cudzych ziemniaków, lub otrząsł gruszki w sadzie, to uważał tylko za żart. Nieraz gdy to Pawełek widział i nauczał jaki to brzydki nałóg, Wojtek z gniewem odpowiadał, ot *głupiś*, albo to kto widzi. — Ale Pan Bóg widzi, wołał Pawełek. — *Głupiś*, powtarzał Wojtek, Pan Bóg dał tyle bogaczowi, żeby i dla nas było.

Nic nie pomogło ani kazanie księdza, ani przykład i nauka Pawełka. Zły duch opanował sumienie Wojtka, nic sobie z tego nie robił, że Wojtek chodził do kościoła, kiedy serce było zepsute, złodziejskie.

Wszystko złe zaczyna się od małego rośnie z człowiekiem co dzień, co godzina aż nareszcie wypełni całego człowieka i nic w nim dobrego nie zostawi, i cały rozum przewróci, że człowiek nawet nie zrozumie tego, jak to można żyć inaczej.

Tak było i z Wojtkiem; najprzód kiedy był małym chłopakiem, kradł drugim chłopcom sidełka na ptaki, łaził do cudzych ogrodów, potem kradł żydom obwarzank na jarmarkach, potem nożyki, potem pan

skie snopy z półkopków, potem co z gospodarskiej komory, potem zmawiał się z drugimi, wynosił sadła, wyprowadzał krowy z obory, konie z noclegu, aż nareszcie serce mu tak zdziczało, że raz nie mogąc otworzyć pęta żelaznego, poodrzynał koniowi nożem kopyta, i ukradł przynajmniej pęta, kiedy nie mógł uprowadzić całego konia. Gdzie tylko co zrobił, zaraz się ztamtąd wynosił, a w nowem miejscu szukał służby i był znowu pokorny i niby poczciwy.

Jednego razu wyprawił Bartłomiej Pawełka w daleką drogę. Było to w zimie, a zima była ostra, Pawełek pojechał saniami, i szczęśliwie dojechał dokąd go posłano. Po tygodniu gdy wracał do domu, śnieg nawalny zasypał drogi, pozadymał chaty, a przez dzień cały burza tak śniegiem zamiatała, że światu widno nie było. Nieświadomi ludzie powiadają, że kiedy burza, to się ktoś obwiesił, Pawełek takim zabobonom nie wierzył, nie lękał się spotkać z marą, ale pierwszy raz jadąc w tę stronę, nie znał drogi i bał się, żeby nie zbłądził, nie zamroził koni i siebie. Zrazu poznawał jeszcze drogę; potem było coraz trudniej, — wtedy to przypomniał sobie opowiadanie ojca o drogach w cudzych krajach

obsadzanych drzewami, i pomyślał sobie jak my nierozumni jesteśmy ludzie; jakby to bespiecznie można jeździć wśród burzy i zamieci i nigdyby się z drogi nie zjechało, gdyby te były obsadzone drzewami? — Nie widząc żadnego śladu, żadnego znaku, którędy droga idzie, zdał się na bożą wolą, bo już sam nie wiedział którędy jedzie! Konie zapadały w śniegu, przechodziły pola i rowy, uderzały na pniaki, zaczepiały o chaszcze; nigdzie śladu ludzkiego, nigdzie chaty, ni gościńca, tylko śnieg świeżo usypany, szeroko jak morze; — a że wiatr dął koniom w oczy, skoro poczuły wolne cugle zwróciły się w stronę zupełnie przeciwną od domu. Jechał tak Pawełek dużo godzin i smutne miał myśli o swoim domku, o swoich rodzicach, o siostrze. Już się i zmierzchać zaczęło, a tu ani drogi, ani ludzkiej ręki, sam jeden był bez pomocy. Kiedy się ciemno w koło niego zrobiło, zaczął narzekać na swoję służbę, skarzyć się na wszystkich ludzi, nareszcie się rozpłakał. Szkapy od zimna i głodu zaczęły słabnieć, kręcić się i potykać, nareszcie wjechały w krzaki, a z krzaków w gruby las. Tu myślał Pawełek, że już na wieki przepadnie! — to patrzał przed siebie, czy gdzie w przepaść nie

leci, to się oglądał czy go wilcy nie gonią. Nareszcie wydało mu się, że światełko błysnęło; — patrzy lepiej przed siebie, widzi ogień przez okienko jakiejś chałupy — uradowany nie wiedział, czy konie popędzać, czy biedz piechotą, i skoczył ze sani, i konie zacinał, i Panu Bogu dziękował, że go od strasznej śmierci wybawił, a wtedy gorzko swojej rozpaczy żałował i Pana Boga przepraszał, że tak mało mu ufał, że zapomniał o jego pomocy i na los swój narzekał. Przyjeżdża bliżej do światła, i widzi karczemkę słomą poszytą, o jednem oknie i sienią dla podróżnych koni. Zajechał wesoło pod wrota, zaczął kołatać do okna i wołać, a po chwili barczysty parobek karczemny otworzył sień i zaprowadził konie podróżnego do żłobu. Arendarzem tej karczmy był żyd rudy i ślepy na jedno oko. Skoro Pawełek koniom siana założył, znalazło się w karczmie i siebie czem posilić; a gdy zjadł wieczerzę i konie swój obrok skończyły, podścielił im Pawełek słomy, a sam, popodpierawszy dobrze wrota, wdrapał się na strych i zagrzebał się w siano, tuż nad chudobą swoją, bo tam chciał się trochę ogrzać i na miękkiem posłaniu wypocząć.

Po chwili zasnął smacznie i spał może do północy spokojnie, aż go jakiś szmer i gadanie obudziło. Podnosi głowę, słucha ciekawie, i słyszy że nie daleko od niego na sianie dwóch ludzi śmiało rozmawia.

Jutro, powiada jeden, najlepszy dzień, bo niedziela. Stary szlachcic rano wołami jedzie do cerkwi, po południu zostaje sam w domu. Gości nie miewa, bo stary sknera nie lubi nikogo częstować; gospodyni jego pójdzie na nieszpory, a ztamtąd na wódeczkę, parobcy na folwarku dobry kawał od domu, wszystko dobrze pójdzie.

— A jak przypadkiem będzie czeladź albo kto z sąsiadów u niego? zapytał głos drugi.

— Tego przypadku nie będzie. Ja znam tamtejszy zwyczaj. Tak już jest od niepamiętnych czasów, i to dziwna rzecz, że dotychczas nie było tak mądrego człowieka, coby na świat puścił ze skrzyni te talary starego skąpca, co i sam nie użyje i drugiemu nie da.

— Bo to Pan Bóg dla nas już to szczęście zachował, — już też dosyć tej włóczęgi i służby po ludziach.

— Ja zaś myślę tak, jak jedno przepuszczę, to mi się druga taka gratka trafi — czemu sobie nie mam użyć na świecie, kie-

dy są głupi ludzie co pracują i pieniądze chowają.

— A ja ustatkuję się gdzie w domu, pokażę czasem kaletkę z talarami, a jak ludzie poznają, że to parobczak nielada, to się zaraz znajdą i swatowie i teściowie i sadzić mię będą za stołem jakby jakiego wójta, i będę sobie statecznym gospodarzem.

— A ja do ciebie pójdę na służbę.

— O nie głupim! — Możesz sobie wtenczas iść na lasy.

Zaczął się śmiać głośno, ów co to się ofiarował na służbę, a Pawełek struchlał, bo w tej rozmowie poznał znajomych swoich. Pierwszym był znany nam już Wojtek, a drugim podobny do niego z poczciwości Antek.

Ej Wojtku, zawołał Pawełek ze swego legowiska, jeszcze ci raz powiadam, nie czyń tego drugiemu, co tobie nie miło! —

Na ten głos porwali się obaj hultaje i zawołali: To ten pies i tutaj nas zwietrzył? Gdzie on tu? — Co on tu robi? — Udusić gadzinę bo nas teraz pokąsa! — Antku bierzmy się, to nie przelewki — całe twoje gospodarstwo zanic, trzeba mu pokazać, żeby nie czynił tego drugiemu, co jemu nie miło! — Uwędzić go tu na bantach!

I rzucili się obaj w tę stronę, gdzie Pawełek leżał, a Pawełek zamiast uciekać, powstał, kazał im milczeć i zagroził, że gwałtu narobi i wszystkich w karczmie pobudzi, aby złodziejów chwytali. Możesz krzyczeć, zawołał Wojtek, ale wiedz o tem, że tu nasi przyjaciele gospodarzą, jeżli powstaną, to przyjdą nam na pomoc.

Zmięszał się trochę Pawełek, gdy się dowiedział, że arendarz i stróż są spólnikami złodziejów, a gdy wziął sobie na rozum, że tu krzyk nic nie pomoże, poddał się Wojtkowi, mówiąc, rób ze mną co chcesz, ale nie zapominaj, że Pan Bóg widzi, co robisz.

Nie wiedzieli złodzieje co robić. Wojtek złościł się na Antka i krzyczał: Czegoż stoisz — czemu się do niego nie bierzesz? Antek to samo zarzucał Wojtkowi. Nareszcie Wojtek wymyślił sposób i powiada do Pawełka: Jeżli chcesz żyć, pojedziesz z nami; — my idziemy piechotą, mamy trzy mile drogi, to nam za dużo. Więc o świcie siadamy razem na twoje sanie i pojedziemy gdzie nam potrzeba.

— Jak to, ja miałbym z wami jechać kraść? Nie doczekacie tego!

— Możesz robić co ci się podoba, ale tu nie zostaniesz boś zdrajca, pojedziesz z nami — ani piśniej teraz — bo z ciebie duszę wyprę. Jesteś u mnie na służbie, ruszaj do koni, zaprzęgaj, bo nam pilno w drogę.

Porwali go z Antkiem za barki i sprowadzili do sieni, i wraz wzięli się do ładowania sani.

Pawełek w myśli układał sobie ucieczkę, myślał że ich w pole wywiedzie i udawał, że jest posłuszny. Z boku zyzem przyglądał się Pawełkowi stróż karczmy, który na hałas się obudził, i uśmiechał się do swoich znajomych. Pawełek sam nie wiedział co się z nim stanie, choć dobrze uszy naciągał by usłyszeć co Wojtek z Antkiem rozmawiali. W Bogu tylko pokładał nadzieję.

Gdy wszystko było gotowo, wziął Pawełek za lejce i siadł na przodzie, a obok niego Wojtek z Antkiem posiadali bokiem na saniach. Rozmowa złodziejów i kłótnia w karczmie nie stała się tak prędko jakeśmy opisali, więc nasi podróżni wyjeżdżając z karczmy, widzieli jeszcze gwiazdy, ale już do dnia nie było daleko. Przez drogę cicho jechali; nie było o czem radzić, bo złodzieje już wszystko ułożyli. Chodziło im o to, aby Pawełek z karczmy nie pojechał i

ich nie zdradził, ale dla tej samej przyczyny nie chcieli go także mieć ze sobą w miejscu, do którego jechali, aby im w kradzieży nie przeszkodził; i znaleźli na to sposób, który podług ich pobożności był bardzo poczciwy i miłosierny. Gdy w gęsty las wjechali, wraz porwali Pawełka ze sani, zanieśli go dobry kawał od drogi, i przywiązali do drzewa powrozem, sami wrócili, potem wsiedli na Pawełka sanie i pojechali dokąd ich zły duch prowadził.

W sąsiedztwie mieszkał stary szlachcic, kawaler przeszło sześćdziesięcioletni, właściciel jednej wioski. Od dzieciństwa przyzwyczajali go rodzice do oszczędności, nie dali mu wiele nauki, ale nauczyli pracować koło gospodarstwa, i pobożności. Już był dorosłym młodzieńcem, kiedy go rodzice odumarli, a będąc jedynakiem osiadł zaraz w dziedzicznej wiosce na gospodarstwie.

Nauka rodziców, jak to mówią, nie poszła w las; pan Jędrzej był człowiekiem pobożnym, chodził zawsze na nabożeństwo, opoządzał starannie kościoł parafialny, dawał jałmużny, nie skrzywdził nikogo, dla poddanych był sprawiedliwym, miłosiernym, zapomagał ich w potrzebie, każdego proszącego wysłuchał, a wszystko robił dlate-

go, że tak Pan Bóg przykazał; lecz przytem dla siebie odmawiał wszystkiego, nie bawił się, nie jeździł po sąsiadach, nie stroił się coraz to inaczej, ale dawnym poczciwym zwyczajem nosił kapotę, pas słucki, co mu ojciec w puściźnie zostawił, w lecie kapelusz słomiany, w zimie czapkę rogatą i buty juchtowe. Wszyscy nazywali go skąpcem, on to nazywał dobrem gospodarstwem. Dobrze grosz obracał nim go wydał, a najczęściej schował go nazad do kieszeni i odkładał wydatek na czas późniejszy; nawet dlatego się nie ożenił, że zaraz księdzu trzeba dać na zapowiedzie, zapłacić za ślub, zapłacić organistę i kościelnego; skoro o tem pomyślał, zaraz swadźbę odłożył na czas późniejszy i tak aż się zastarzał. Do gospodarstwa nie trzymał koni tylko woły, bo ich utrzymanie mniej kosztuje, dlatego dobrze Wojtek mówił, że wołmi jeździł do kościoła. Nie miał ani brata ani swata; w domu jedna stara kucharka, a na noc stróż gromadzki, to był cały dwór jego. To też wszyscy w okolicy mówili, że to szlachcic siedzi na talarach.

Wojtek znał dobrze zwyczaje pana Jędrzeja, bo dawniej służył u niego za parobka, i także myślał, że to bogacz wielki;

nie wiedział o tem, że pan Jędrzej co roku robił ze sobą rachunek; zostawiał sobie co potrzebował na prowadzenie gospodarstwa, osobno trzymał na trumnę i pogrzeb, a resztę oddawał ojcom Bernardynom, ubogim zakonnikom, którzy ztąd klasztor mieli niedaleko.

Gdy Wojtek z Antkiem przyjechał do wsi, wstąpił najprzód do karczmy, a zobaczywszy, że gospodyni pana Jędrzeja na dobre się z kumami zabawia, pojechali dalej do domu. Pan Jędrzej drzymał sobie spokojnie, gdy Wojtek zostawiwszy Antka przy koniach, wszedł do sieni, drzwi zasunął i otworzył drzwi do pierwszej izby. Na to obudził się pan Jędrzej i zdziwił się, że człowiek wchodzi nie mówiąc: „Pochwalony Jezus Chrystus!“ Nie miał czasu zapytać go, co zajeden, bo Wojtek skoczył zaraz, złapał go za barki, i zawołał: pieniędzy, pieniędzy, wszystko co masz oddawaj! Pan Jędrzej zamiast się przestraszyć, lub krzyczeć, pokazał mu spokojnie na stolik, dał klucze i pozwolił zabrać woreczek, w którym było pięćdziesiąt złotych wszystkiego. Wojtek myśląc, że go się chce skąpiec pozbyć lada durniczką, zaczął grozić, dusić za gardło, ale to wszystko nic nie pomogło. —

Pan Jędrzej nie miał więcej. Czas uchodził, złodziej nie mógł długo bawić, bo na złodzieju czapka gore, — chciał jeszcze szlachcica nastraszyć, porwał ze ściany strzelbę, którą pan Jędrzej czasem strzelał sroki w ogrodzie, i mierząc tylko dla postrachu, żądał jeszcze pieniędzy. — Pana Jędrzeja postrach nie rusza, ale Wojtek strzelby nigdy w ręku nietrzymał, pociągnął niechcący za kurek, strzelba wypaliła i trafiła w piersi pana Jędrzeja.

Jakby piorun w Wojtka uderzył, opuścił strzelbę, a sam z woreczkiem pienigdzy wybiegł na podwórze.

Nie było czasu opowiadać zdarzenia; Antkowi nie było czasu pytać. Zaciął czemprędzej konie i szczęśliwie wyjechali ze wsi, a ztamtąd w pole i do lasu.

No teraz już i my panowie, zawołał Antek zatrzymując konie koło starego buka, syp do czapki, tobie połowa i mnie połowa.

— Niema co sypać do czapki, zabierz w garść odpowiedział Wojtek.

— No, no, nie kpij z ludzi — dawajno prędzej — jużem dawno talarów nie widział.

— Oj Antku, ja nie kpię, ale djabeł z nas zakpił! — Patrzaj to cały majątek — weż — to twoja połowa 25 złotych.

— Co? 25 złotych? — A gdzież te skarby coś mi obiecywał?

— Nie było więcej; — to szlachcic bardzo biedny.

— Biedny? — a ty złodzieju, teraz mię chcesz okraść z mojej połowy? —

— Ej Antku opamiętaj się — powiadam ci, że niema więcej, a jeżeli ci mało, to weź 50 złotych — a ja wezmę konie.

— Nie, ja wezmę konie, a ty weź 50 złotych.

Widział Antek, że nie da rady sam z Wojtkiem, ale go mało nie zjadł oczyma, bo mu nie wierzył.

— No, to niech i tak będzie, zawołał Wojtek, weź konie, ale mię podwieź do Moszka.

— Aha, przystajesz — bo sobie kupisz lepsze konie, nic z tego — nie wiozę darmo — zapłać mi 100 talarów — to cię podwiozę.

— Ale ja nie mam nic więcej!

— To idź złodzieju piechotą.

I trącił Wojtka do rowu, że aż się nakrył nogami, a sam zaciął konie i poleciał wyklinając na czem świat stoi, i mszcząc się na koniach, że go tam zawiozły. Po

drodze przychodziło mu do myśli wszystko co sobie układał o nowem gospodarstwie, przypomniał sobie, jak Wojtek żartował z niego, i jak teraz wyprowadził go w pole! Wściekał się ze złości, że teraz został z obcemi końmi, które ktoś poznać może po drodze, a Wojtek bespieczny, bo ma pieniądze, bogacz, drwić będzie ze swego głupiego spólnika! — O! nie, nie głupim, powiedział sobie Antek — pokażę ci, żem mądrzejszy od ciebie. Poczekaj złodzieju — poznasz ty, jak to mię za nos wodzić! — Wio! krzyczał na konie, i smagał je biczem z całej siły.

Już późno w wieczór przyjechał do miasteczka, i zajechał prosto do sędziego. Przyszedłszy do izby, nieśmiało się ukłonił, oglądał się na wszystkie strony i oświadczył sędziemu, że mu coś ważnego ma powiedzieć. — Nareszcie udając, że go sumienie wzruszyło, rozpłakał się i opowiedział wszystko do czego go Wojtek namówił, dodał, że Wojtek sam kradzież dokonał, że on niechciał wziąść z tych pieniędzy ani grosza, i nie może wytrzymać, żeby ten grzech był zatajony.

Natychmiast go jako spólnika osadzono w areszcie, a sędzia ze strażnikami ruszył

w pogoń do Moszka. Osobnych ludzi wysłano szukać przywiązanego do drzewa Pawełka.

Jeszcze słońce nie zeszło, kiedy straż cała obskoczyła karczemkę. Zadzwoniły żydowi zęby od strachu, a Wojtek, który się tam schronił jak do przyjaciela, zbladł jak chusta, bo widział, że to ostatnia godzina jego wolności! Który z was jest Wojtek? zawołał sędzia.

— O ten jest jaśnie panie, krzyknął żyd ucieszony, że nie o niego pytają.

Tymczasem sędzia wiedząc czem się pan arendarz zabawiał, kazał i jego okuć w kajdany i stróża i Wojtka powieziono do sądu.

Do czasu dzban wodę nosi, powiada nasze przysłowie, a drugie przysłowie mówi: Nosił wilk barany lat kilka, poniosą też i wilka. — Tak się też stało i z Wojtkiem. Kradł, wykręcał się, zwodził sędziów, uciekał; — nareszcie go i rozum opuścił, i odwagi zabrakło i ręce mu opadły i życie mu obmierzło. Odrazu się przyznał, że okradł i zabił pana Jędrzeja.

Nie było więcej o co pytać — rzecz była skończona, prawo śmierć za śmierć na-

kazuje — nie było ratunku. Wojtka kazano powiesić! —

Przywieziono go do wioski, gdzie zbrodnia była popełnioną; — tam pierwszy i ostatni raz w życiu szczerze wyspowiadał się ze wszystkich grzechów, a gdy stanął pod szubienicą, tak przemówił do zgromadzonych ludzi: „Matki i Ojcowie! Uczcie się ze mnie jak macie chować dzieci wasze! — Ja nie wczoraj stałem się rozbójnikiem; ale wtenczas już, kiedym zabierał chłopakom sidełka na ptaki, kiedym łaził do cudzego ogrodu, wtenczas już byłem rozbójnikiem! — Kiedym ukradł pierwszego buczka z lasu, już sobie ukradłem drzewo na szubienicę! Karajcie za to dzieci wasze, a kiedy które z was weźmie sierotę na opiekę — uczcie go lepiej przykazań boskich niż mię uczono; dbajcie więcej o jego sumienie niż o chleb i odzienie! — Starzy i młodzi, jednę wam największą zostawiam naukę: „Nie czyń tego drugiemu co tobie nie miło!"

---

Tak skończył Wojtek, Antek odsiedział rok w kajdanach, a Pawełka znalcziono z zatkaną gębą przywiązanego, ledwie jeszcze żywego od zimna. Powrócił on szczęśliwie

do Bartłomieja i poprzestraszał wszystkich jak zaczął opowiadać, co to się z nim było stało. Sąsiedzi słuchali go z rozdziawionemi gębami nie na jednej wieczornicy, i przywodzili dzieci swoje do słuchania. Po kilku latach wybrał sobie Bartłomiej Pawełka na zięcia, a Marcin i Marcinowa mieli przytułek u niego aż do śmierci.

*J. H.*

---

# WIECZORYNKA.

---

Schodzą się z całej wsi dziewczęta do wójtowej Marysi, bo Marysia najlepsza z całej wsi dziewczyna; wszystko umie, wszystkiemu poradzi — i zawsze dla każdego ma dobre słowo na ustach, uśmiech w oczętach, modrych jak niebo w pogodny dzień wiośniany. Marysi w karczmie nie zobaczysz nigdy, choćbyś oczy wypatrzył, ale za to w kościele na sumie i na nieszporach ją najprędzej spostrzeżesz — bo najpierwsza przychodzi, a ostatnia się oddala. Poznasz ją zaraz po białem jak śnieg odzieniu, po świeżych kwiatkach we włosach, a najłatwiej po skromnem ułożeniu i pobożnej modlitwie, po głosie cieniutkim i miłym, którym śpiewa z innymi pieśni do Najświętszej Panny, a umie ich tyle i takich prześlicznych! Marysię od rana do wieczora zobaczysz przy robocie, ona ogródek zasadziła jarzyną, pomiędzy którą znalazła się grząd-

ka na wonne kwiateczki, aby niemi stroić ołtarze N. P. Maryi, i wszystkim dziewczętom znajomym weselne pleść wianeczki, i niejednemu dziecięciu idącemu do nieba, umaić wązkie łóżeczko. — Temi kwiatkami jeszcze Marysia niby z niechcenia zastawia okienko chaty, a w samej rzeczy zasłania je przed natrętnej młodzieży okiem. Chłopcy z całego sioła lubią przechodzić koło tego okienka, i każdy radby wesołe słówko powiedzieć dziewczynie, i tem jej serce zyskiwać, ale Marysia tego nie lubi; — ona pamięta, co kiedyś ksiądz mówił z ambony, powtarzając wyrazy pisma świętego: „Wszelaką strażą strzeż serca twego, bo „z niego żywot pochodzi.“ — Ona też strzeże, i myśli sobie: ten co od Boga przeznaczony, to przyjdzie po bożemu, nie ze swawolnym żartem na ustach, ale z pokłonem dla ojców, z uszanowaniem dla mnie.

A kiedy sąsiady swaty jej zapowiadają bliskie, to ona prosi: poczekajcie, poczekajcie jeszcze, przecież ja taka młoda, jeszczem się ojcu, matce nie wywdzięczyła za wszystko co dla mnie podejmowali, jeszcze pracować nie umiem, jak gospodyni powinna, poczekajcie, poczekajcie jeszcze.

A tymczasem przez dzień cały tak pracuje gorliwie! Ona to własnemi rękami z matki pomocą zasadziła kartofle w polu, i wypełła pszenicę, i z sierpem codzień stanęła do żniwa za najem, za co sobie na zimowy przyodziewek złożyła i kupiła te korale jak jej twarzyczka rumiane.

A w domu. — W domu Marysia jest prawą ręką matki, jest ojca pomocą, dziada pociechą i chlubą, a młodszego rodzeństwa opiekunką i przykładem. Bo któż to wybielił tak czysto ściany ich chaty, kto za obrazy świętych te różnowzorne nieśmiertelniki powkładał? Kto co sobotę szóruje podłogę, ławy i stoły, czystą pościelą łóżka okrywa na niedzielę? Kto ten smaczny żarnowy chleb wypieka, i te wyborne na święta kołacze? Kto przez zimę obszywa całą rodzinę, a przędzie tak równo, tak cieniutko, że motek cały przez obrączkę z małego palca przechodzi? Wszystko Marysia. To też ją poważa wieś cała, a wszystkie dziewczęta lgną do niej, bo przytem wszystkiem jest uczynna i uprzejma dla każdej, z niczego się nie wynosi, w niczem chwały swojej nie szuka, a wszystko robi przez miłość Boga i bliźniego.

Do niej przez zimę lubią dziewczęta przychodzić z kądzielą, zaśpiewać razem pieśń świętą, posłuchać jakiej starej powieści i pośmiać się razem wesoło, bo u młodych póki w sercu jasno i czysto, uśmiech musi być na ustach koniecznie.

I dziś się poschodziły, obsiadły komin dokoła, Marysia przyłożyła smolnego łuczywa, ogień rozjaśniał, iskry się z trzaskiem wydobywać zaczęły, a szparkie wrzeciona zawarczały jednogłośnie przy wtórze pieśni ulubionej przez Marysię, której się w szkółce małem dziewczęciem nauczyła, a którą dotąd nad wszystkie przekłada piosenki.

Cześć Maryi, cześć i chwała,
Pannie świętej cześć,
Śpiewaj, śpiewaj, dziatwo mała,
Hołd jej spiesz się nieść.

Jej to ręce piastowały
Tego co ten świat
Stworzył wielki i wspaniały,
Syn jej a nasz brat.

On jak matkę ją miłował,
Posłusznym jej był,
Każde słowo jej szanował,
Chociaż Bogiem był.

Dziatki lube, jeśli chcecie
Błogi żywot mieć,
Jako święte Jezus dziecię
Maryę chciejcie czcić.

Niewinność, cichość, pokora,
To Maryi strój,
Przez nie miła niebios córa
Łask zyskała zdrój.

Przez nie w gwiazdzistej koronie
Osadził ją Bóg,
Na wysokim niebios tronie;
W aniołach ma sług.

Obraz Maryi, dziatwo droga,
W sercu zawsze noś,
O opiekę matki Boga
Zawsze, zawsze proś.

— Piękna też to piosenka, mówił stary dziadulo, co pierze darł pod piecem, ale co piękniejsze jeszcze, to to, że młode dziewczęta od pobożnej pieśni wieczorynkę zaczynają. Pan Bóg pobłogosławi pracy waszej, i wam samym błogosławić będzie.

— Marysia inną zacząćby nie pozwoliła, przerwała żywo Justyna, a Hańcia, co po Marysi najśliczniej anioł Pański wyśpiewać

umie, Hańcia od jesieni już tylko do Najświętszej Panny śpiewa, jak gdyby zapomniała tych wesołych krakowiaków, co ją flisaczka nauczyła, i tych rzewliwych dumek o hetmanach, o kozackiej swobodzie, o Hryciu.

Wszyscy ku Hańci spojrzeli, co cichutko w kąciku samym siedziała, a teraz skryła się nieco za duży zwój lnu u przęślicy, bo po wybladłej twarzyczce potoczyły się dwie łzy jak perełki.

Hańcia była to kiedyś najweselsza dziewczyna z całego sioła, nikt jej nie zrównał przy ochocie na rówienniczek weselu, nikt nie prześpiewał przy robocie w polu, a że była tak żwawa do pracy, jak do tańca i piosneczek, nie dziw że Hrycio syn porządnego gospodarza przysłał do niej swaty, i za wolą rodziców odbyły się zaręczyny, wesele po godnych świętach odkładając.

Wtem branka nadeszła; spisano wszystkich chłopaków, ciągnięto losy — padały na innych — lecz i na Hrycia los wypadł.

Obcięto włosy, ubrano w mundur; inni cieszyli się brzękiem szabelek, układali sobie jakto przewodzić będą po wsiach i miastach, zajadać mięso i chleba dostatek, — jak może z wojaczki przyniosą dużo srebrnych pieniędzy do domu i innych rzeczy nie-

mało, a Hrycio smutnie spuścił głowę na piersi i dumał. Przyszła Hanusia, od płaczu mówić nie mogła, podała mu tylko srebrną obrączkę z krzyżykiem, i rańtuchem oczy zakryła.

— Nie płacz, Hanusiu! pamiętaj tylko o mnie, ja wiernym ci pozostanę — i oto dodał zdejmując z piersi medalik — zachowaj to przy sobie — jest to obrazek cudownej Matki Boskiej Częstochowskiej — a z drugiej strony napisano: „Pocieszycielko strapionych, módl się za nami.“ Dostałem ja go przy pierwszej spowiedzi świętej od tego zakonnika, cośmy go tak wszyscy kochali. On mi powiedział: „Medalik ten poświęcany przez potarcie o cudowny obraz Matki Najświętszej — wiele ona już, wiele cudów uczyniła, pamiętaj do niej się uciekać w potrzebie.“ Nosiłem go więc zawsze i modliłem się — teraz tobie oddaję. Wymódl nam opiekę tej pocieszycielki strapionych, a może nie długo dostanę urlop i wrócę do ciebie.

Zatrąbili do wymarszu, nie było czasu na dłuższe pożegnanie, Hrycio odszedł z innymi w daleką krainę. Hańcia została, niewierząc samej sobie, tylko medalik w ręku zatrzymany prawdę jej przypominał. Za powrotem do domu zawiesiła go na czar-

nym sznureczku na szyi, w miejscu wszystkich wzorzystych koralików, i zaniechała wesołych tańców, i zapomniała o wszystkich światowych piosenkach — tylko pracując gorliwiej jeszcze jak zwykle — modliła się do Maryi Panny, dla niej piosenki składała.

Nadeszły święta, Hrycia nie było, i oto gody mijają, a jego jak nie ma tak nie ma. Jedni ludzie wojną straszą, drudzy cieszą spokojem. Hańcia coraz cichszym głosem piosenki do Maryi śpiewa, coraz bledszą twarzyczką ku niebu spogląda, ale śpiewa Maryi ciągle, i zawsze ku niebu spogląda, bo ztamtąd tylko pociechy się spodziewa.

Dziś przyszła na wieczorynkę do Marysi, bo u Marysi usłyszy to tylko co sercu miłe, co pociechę przynieść może.

Spojrzały na nią dziewczęta, bo im żal było Hanusi, i tęskno za jej wesołem szczebiotaniem, bo im żal było i Hrycia, co biednych ojców zostawił; od wzięcia jego, matka wzrok straciła od płaczu, ojciec na nogi podupadł, niemogąc wydołać pracy, i majątek nie mały ginął bez dozoru i opieki.

— Cóż zaśpiewamy jeszcze, pytała Marysia, aby przerwać milczenie, jakie po słowach Justysi nastało.

— Kiedyście do Matki Boskiej śpiewać zaczęły, to śpiewajcież jeszcze Salve Regina, powiedział dziadulo.

— O dobrze, dobrze, to taka śliczna nóta, bardzo tę pieśń lubię, mówiła Justysia, tylko wcale nie rozumiem co znaczy Salve Regina. Znałam ja jednę dziewuchę co się Regina nazywała, ale gdzieżby to o niej w pieśni było, a jeszcze w pieśni do Matki Boskiej.

— Jakie też z ciebie dziecko Justysiu, przerwała Marysia, czy nie pamiętasz jak nam ksiądz proboszcz tłumaczył, kiedy nas w maju tej pieśni uczył, że po łacinie *Salve Regina* znaczy to samo, co po naszemu „Zawitaj Królowo.“

— Ktoby to tam pamiętał. — Przecież Matka Boska to Matka Boska, a królowa to taka Pani w koronie, cośmy to ją na obrazach do historyi w szkółce widziały.

— I Matkę Boską w koronie malują, spojrzyj na Hańci medalik, to dojrzysz; dziadulo nam raz rozpowiadał, że na własne oczy widział ten obraz cudowny w samej Częstochowie. Tam Matka Boska ma taką śliczną diamentową sukienkę, a koronę tak jasną, że aż łona od niej bije.

— A gdzie to ta Częstochowa? pytała nieśmiało Hanusia.

— Daleko ztąd, daleko, odpowie dziadulo, ztąd do Krakowa podobno z górą mil czterdzieści, a to jeszcze dobrych mil ośmnaście za Krakowem. Oj dziwno dzisiaj na świecie! teraz ledwo kto wie z imienia o Matce Boskiej Częstochowskiej, a nie każdy ją na medaliku widział — a za moich czasów toś nie znalazł jednego człeka w siole, któryby nie był z kompaniją w Częstochowie. I lepiej musiało być wtedy. Człowiek trochę poznał świata i ludzi, i różnym obyczajom się przypatrzył; kiedy co lepszego zobaczył, to czasem i u siebie zaprowadził, a jak gorsze, to ludziom swój obyczaj opowiedział. I nikt nie pomyślał, że tam za górami, za Tarnowem, a koło Krakowa to inny lud mieszka. Bo kiedym zrozumiał mowę, zobaczył te same co i u nas obrazy na ścianie, ten sam barszcz w misie, a chleb na stole, to samo serce dla przychodnia, tom pomyślał, ot i tu bracia moi.

Z tych podróży jam się był nauczył, jak można orać parą bez poganiacza, jak się konicz sieje czerwony, jak można na kawałku gruntu przy chacie mieć z niej paszę na całe lato. Widziałem ci ja i inne tam

dziwy, ale wtedy człeka nie stać było na odmianę; a dzisiaj, kiedy zamożnym gospodarzom rozpowiadam, to nikt mi wierzyć niechce, nawet syn mówi: Przywidziało wam się tatulu, gdzieby to być mogło, aby bez jarzma woły w pługu chodziły. Przecież to mi się nie śniło, tylko widziałem bardzo dobrze, a człek choć stary, pamięci nie utracił. Widziałem, mówię, tak jak mnie oto widzicie przed sobą, że woły zaprzęgano bez jarzma, tylko za rogi, a kiedy mi gospodarz tamtejszy powiedział, że ośm lat wół już pracuje, tom się przeżegnał od zadziwienia, bydlęciu w zęby zajrzeć musiałem, aby uwierzyć, bo wyglądało tak silnie i zdrowo, jakby dopiero pracować zaczynało.

— Prawda, że te jarzma okropnie bydlę męczą i mizerują, przerwała litościwa Marysia, ja też czasem serdecznie Bogu dziękuję, żem dziewczyna, że nie muszę idąc za pługiem patrzeć jak biedne bydlę dyszy z utrudzenia, jak mu ciężkie i twarde jarzmo szyję kaleczy.

— To możnaby odmienić, ciągnął dalej dziadulo, gdyby chcieli uwierzyć i sprobować, uwierzyliby gdyby zobaczyli sami, ale jakże mają zobaczyć, kiedy nikt głowy za sioło nie wychyli, a jeśli pójdzie, to naj-

dalej w niedzielę na targ do miasteczka, aby dzień święty zacząć kłótnią z żydami, a skończyć na bitwie w karczmie z sąsiadami pijanemi, albo na innej obrazie Boskiej.

Inaczej, inaczej za moich czasów bywało. Chwała Boska przedewszystkiem. Jak przyszła święta niedziela, to się nie ważył nikt jąć niczego, zanim mszy świętej nie wysłuchał, a po mszy niechnoby się był jeden żydek chcący sprzedawać, albo kupować, na rynku przed kościołem pokazał! Teraz to i na podniesienie głowy spokojnie schylić nie możesz, bo ci gwar targowy i przeklęctwa żydowskie w uszach szumią. A wyjrzałbyś z kościoła, to chyba po to, aby ci serce od żalu pękło. Gadamy na żydów, że Pana Juzusa umęczyli śmiercią krzyżową, a czy my lepsi od nich jesteśmy? Gdybyśmy żyli w tamtych czasach, tobyśmy może razem z nimi żółć Chrystusowi za napój podawali, i jeszcze cięższą mu śmierć wynaleźli, za to że do dobrego pociągał, a grzechem się brzydził. Toć żydzi przynajmniej swojej religii pilnują, choć marnej świeczki to ci w szabas nie sprzeda, a prędzejbyś go zabił, niż do kupna namówił.

— No ale cóż robić, tatulu, zagadnęła Janowa, matka Marysi. Wy mnie znacie, i

wiecie dobrze żem pobożna, ale przecie jak w niedzielę kurczątka nie wyniosę, masła nie sprzedam, to w poniedziałek nikt nie kupi. Żeby i inne chciały....

— Każda tak mówi, a żadna nie zacznie. Choć one nie chcą, ty chciej, może się za twoim przykładem znajdzie druga i trzecia, a co na sprzedaży nie dobierzesz, to Bóg na czem innem nagrodzi. Gdybyś miała kilka dusz, tobyś mogła którą utracić, a przecież niebo odziedziczyć — ale masz tylko jednę duszyczkę, strzeż jej, bo utraconej nie odzyskasz. Pan Bóg powiedział: Kto chowa przykazania moje, ten mnie miłuje, a kto mnie miłuje, tego i ja miłować będę. A wyraźnie w przykazaniach jest powiedziano: „Pamiętaj, abyś dzień święty święcił.“ Ludzie przykazań Boskich nie strzegą, a potem skarzą: takie ciężkie lata, coraz to gorzej, nic się nie rodzi, niczego się dochować nie można. Bądź ty z Bogiem, Bóg będzie z tobą — dobre to dawne przysłowie: „Jak Kuba Bogu, tak Kubie Bóg.“

— Dziadulo się rozgadali, szeptała Justysia, i śpiewać już nie będziemy.

— Proś niech nam jeszcze o Częstochowie mówi, poddawała Hańcia Marysi.

I Marysia korzystając z chwili przestanku, zagadnęła:

Wszak wy dziadulu dwa razy byliście w Częstochowie?

— Dwa razy dziecko moje. Raz jeszcze przed wzięciem gospodarstwa po ojcach — będzie temu z górą lat trzydzieści. A obchodzili wtedy pamiątkę stulecia koronacyi Obrazu N. Maryi Panný. A drugi raz, kiedyśmy z nieboszczką Małgosią, Panie świeć nad jej duszą, Jasia naszego, twojego stryja leżącego na śmiertelnej pościeli, do Częstochowy ofiarowali. Już bez pamięci leżał — potem mu jakby ręką odjęło — a w miesiąc szedł z nami o swoich siłach część drogi, a resztę na ręku donieśliśmy go aż na samą Jasną górę, bo był jeszcze maleńkiem chłopięciem.

— A co to była ta koronacya? pytała jeszcze Justysia.

— Widzicie, jak to sobie kto za patrona którego świętego obierze, jak naprzykład dziewczęta S. Andrzeja, a chłopcy S. Katarzynę — tak naród nasz obrał sobie za patronkę i protektorkę Najświętszą Panienkę, królową ją swoją ogłosił, i drogą koroną za pozwoleniem Papieża z wielkiemi uroczystościami i cudownym odpustem ukoronował

jej obraz na Jasnej górze w Częstochowie. Od tego czasu zawsze na dniu 8 Września pamiątkę tę obchodzą; — a 1817 roku, jako w ukończone pierwsze stulecie od koronacyi, wielkie się odprawiało nabożeństwo. — Przez kilkanaście dni lud się zgromadzał ze wszystkich okolicznych krajów. Szlązacy, Morawianie, Czechy przychodzili z chorągwiami i w koło Jasnej góry obozami się umieszczali. A naszych było jak mrowia! Na samej Jasnej górze, to mi mówił braciszek zakrystyan, że sto dwadzieścia tysięcy osób komunikowało przez ośm dni nabożeństwa, nie licząc tych, co w Starej Częstochowie i w kościele S. Barbary być mogli. Po komunii świętej zwykle wszyscy na kolanach obchodzą ołtarze, to już za moich czasów od tego chodzenia dwoma rzędami na pół łokcia głęboko kamienie były wyżłobione. Ani myśleć było, aby się setna część tego ludu, co przybył, pomieściła w kościele. To też drugi obraz umieścili wysoko na wieży, i tam na przyczepionym ganku ksiądz mszę świętą odprawiał, aby wszyscy słuchać jej mogli. Sakramentów zaś świętych Bierzmowania, Spowiedzi, Ciała i Krwi Pańskiej Biskupi i Księża pod gołem niebem udzielali. Jam przecie chcć z nie-

małą trudnością dostał się do samej kaplicy, alem zaraz krzyżem upadł i długom się odważyć nie mógł spojrzeć na ten obraz święty, potem mi się aż w oczach zaćmiło, kiedym je podniósł do góry, ale na sercu tak było miło, swobodnie, jak gdybym był już w niebie!

Dziwy też opowiadają o cudownych łaskach, jakie w tem miejscu Matka Boska dla ludzi u Boga wyjednała!

— Czemużbyście nas kiedy nie zaprowadzili na to święte miejsce, dziadulo, zawołała żywo Marysia.

— O, ja już ciągle o tem przemyśliwam, dodała Hańcia.

— I ja, i ja, powtarzały inne dziewczęta zkolei.

Dziadulo powstał z ławy, wyprostował się żwawo, jak gdyby mu sił przybyło — a lat zmniejszył się dziesiątek.

— Czemużby nie — dwa razy mi nie mówcie. Ale kiedy? Trzebaby na największy odpust, a to zaraz po żniwach w jesieni. Da Pan Bóg doczekać, prędko się uprzątniecie koło pola. Lny i kartofle na powrót zostawimy, i dalej w drogę.

— A czemu nie wcześniej? pytała Hanusia.

— Wszystkim trudnoby było wcześniej — będzie czasu dosyć z robotami się obrobić, i większą kompaniję zebrać, i na drogę coś zarobić wprzód sobie, aby opędziwszy potrzeby życia, zostało trochę grosza na podarek dla ojców, na kupienie chorągiewek do kościoła, na pierścionek z Matką Boską i na szkaplerzyk i medalik dla sąsiady.

— O to już dobrze, niechże już będzie w jesieni, powtarzała Hanusia, która pielgrzymkę tę najpierwsza umyśliła.

Zaczęły się ciche szepty, jedna drugiej cel pielgrzymki zwierzała, i zamilkły na chwilę wrzeciona, kiedy wszedł Józef z przewieszonym lemieszem na plecach.

— Dziwiliście się może, żem tak długo bawił, mówił po przywitaniu rodzica i żony, ale i jam długo czekał, kowal był w mieście po żelazo. Przywiózł też papiery z poczty dla naszej gminy — było i pisanie od Hrycia do ojców — więcem po drodze im zaniósł i ucieszyłem się z niemi.

Wszystkie dziewczęta spojrzały na Józefa ciekawie, a on dodał:

Ucieszyłem się; Hrycio pisze, że ma nadzieję powrócić wkrótce za urlopem, bo spokój wraca, wojny żadnej nie będzie. Biedna matka tak się uradowała, że sobie

kazała dać pisanie, a choć czytać nie umie, i oczy prawie zupełnie straciła — koniecznie nam mówiła, że widzi co Hrycio napisał, że wszystko zobaczyła.

— Bogu najwyższemu niech będą dzięki! powiedział dziadulo, ale dodał obracając się do Hanusi, do Częstochowy przecież pójdziemy na jesień.

— Pójdziemy podziękować, szepnęło dziewczę — bo to Matka Boska powrót jego uprosić musiała u Boga.

Dziewczęta złożyły żwawo kądziele, każdej spieszno było nieść dobrą wieść do domu — żegnały kochaną swoją Marysię — a u dziadula zamawiały sobie opowiadanie na drugą wieczorynkę.

*W. T.*

---

# STRACH MŁYŃSKI.

Każdemu wiadomo, jaka to ważna rzecz mieć paskę na Wielkanoc. Jak to pilno wtenczas każdemu o ładną mąkę choć na jedno ciasto; więc nic dziwnego, że wtenczas bywa wielki zajazd do młyna. Było to w sam wielki czwartek, jak to u nas bywa; panowie gospodarze i gospodynie spuszczają się na ostatnią godzinę, kiedy człowieka sobota już za kołnierz chwyta; tak i razu jednego w sam wielki czwartek pół wsi zjechało się do młyna, żeby choć ćwiartkę pszenicy spytlować, bo jak każdemu wiadomo od wielkiego czwartku już tylko dwa dni do wielkiejnocy. — A gdy się tak wszyscy zjechali, kumy i kumowie, swatowie i swachy, dziewczęta i chłopaki, każde usiadłszy na swoim worku zboża, czeka kolei do nasypu, mielnik się uwija, ko-

ła huczą, pytle turkoczą, skałeczki na kominku trzeszczą, a gromadka zebrana wtenczas się zabawia, to swataniem na przewodnią niedzielę, to uciechą bliskiego wesela, to opowiadaniem o przeszłorocznem święconem, a nareszcie gdy wieczór nadejdzie — o strachach; — bo jużciś młyn nie może być bez stracha.

Już było bardzo ludno w naszym młynie, a dobrze już się na dworze ciemno zrobiło — kiedy we drzwiach stanęła — — nie strach — ale baba z workiem na plecach.

Wszyscy ją zaraz poznali — bo zaraz krzyknęli: a to nasza Mateuszowa! — Witajcież nam, witajcie! — A cóż to kumo tak późno? — gdzieżeście się tak wesolutko zabawiali, żeście się aż do wielkiego tygodnia spóźnili? — siadajcie no, a zabawcie się z nami — i my przy was się zabawimy — boć to was nie daremnie nazywają gromadzką swachą — cożeście tam słyszeli — a mąż, gdzie tam przebywa — a dzieci czy zdrowe, czy wysoko skaczą? —

Tysiąc pytań do Mateuszowej, a Mateuszowa, rumiana babulka, uśmiecha się i kiwa głową na wszystkie strony, wszystkim rada, tylko temu nie rada, że się tak spó-

?"iła, że w mieleniu będzie ostatnią, a tu zeniczka aż się prosi — bo robota pilna.

— Ej żartujcie zdrowi, powiada Mateuszowa stawiając swój worek jak mogła najbliżej i siadając na nim; ledwiem tu przylazła, czepka mi z głowy omało nie zsadziło, tak tu markotno iść do tego młyna. Na dworze chmurno, księżyc nie świeci, a od czasu jak zapamiętam to po tych drogach zawsze złe się ugania. Jak się człeka nieraz przyczepi, to go się i odżegnać nie można.

— E dajcie ta sobie pokój kumo, zawołały sąsiadki, złe dobremu nie zaszkodzi.

— Dobrze wam mówić, coście nigdy złego nie widziały, coście tylko z powiastki słuchały, jak drugim ludziom wstawały włosy na głowie, jak zimny pot występował na twarzy, a sameście nie widziały ani wilkołaka, ani zmory, ani upiora. Oj kumoszki moje, kumoszki, jeszcze wy nie wiecie tego, co to za nieszczęścia za człowiekiem chodzą! — Gdyby się wam pokazało tylko jedno straszydło, co w tym młynie mieszka, toby się wam odechciało i święconej paski — bez czepców pouciekałybyście do domu.

— Niech nas Pan Bóg broni, żebyśmy co widziały, nie wyzywajcie kumo nieszczęścia, a powiedźcie co weselszego — ot czy nie poswatacie nam kogo na przewodnią?

— O nie, nie, Mateuszowa, wołali młodsi, powiedźcie nam co o strachach! — nas tyle razem i krzyż mamy na czole — nie stanie nam się żadna przygoda! —

Mateuszowa uśmiecha się — i pokręca głową.

— Mówcie nam, mówcie, jak to straszydło wygląda?

— Straszydło nijak nie wygląda i różnie wyglądać może: — ot ten worek, na którym siedzisz, zwróciła się Mateuszowa do jednej dziewczyny, to już może się strach w pszenicę przerzucił....

— E nie żartujcie — mówiła dziewczyna — ale z ukosa zaczęła spoglądać na worek i tulić się do swojej sąsiadki.

— Tak tak serdeńko, mówiła dalej Mateuszowa, strach, to upiór, przerzuca się we wszystko żywe i nieżywe, otumani człowieka, wodzi go, Bóg wie którędy, czasem go niesie ponad lasy i sioła — zaniesie go w jednej godzinie w nieznane kraje! Obejrzała się Mateuszowa po twarzach zgromadzonych i tak dalej zaczęła prawić: —

Już ja widziała i czarne i białe; — widziałam pokutujące dusze, jak okute kajdanami błąkają się po błotach; widziałam na własne oczy jak „On“ przesusza pieniądze i płomieniem swoim goni za człowiekiem, co się kusi na jego skarby; widziałam jak na mogile wisielca siedziało ogromne czarne kocisko i trzymało zapaloną swiecę w zębach, a smołę czuć było na pół mili od niego! — Raz znowu mąż mój wracał ze skrzypkami z wesela i zabawił się trochę po drodze w miasteczku, kiedy już przyszedł na nasze pola, aż tu na rozstajnej drodze stoi jakiś paniczyk kuso ubrany, i kłania się i prosi skrzypka na wesele. Ciągnie za poły i dukatami potrząsa, niema rady, trzeba słuchać, mąż idzie za paniczem, panicz go wiedzie i skacze i drogę pokazuje, i pokazuje prześliczne pałace i na dziedziniec wprowadza. A tam gości bez liku, a wszystko kuso ubrane i wszyscy takiego małego wzrostu — ot jakby ten pies na ławie. — Gra mężulko ochoczo — a wciąż gra sztajera; kusaki kręcą się jak szaleni, a co który przetańczy, to dukaty sypie do skrzypki. Mąż się cieszy, że trafił na takich paniczów, a panicze się śmieją i w ręce klaszczą koło niego.

Kilka godzin szły tany; — nareszcie jak zaczną goście kichać, aż się Mateuszowi na skrzypcach strony porwały. Nagle zdaleka dał się słyszeć głos koguta, i jak piorun strzelił, wszystko znikło, pałac zapadł się w ziemię, a Mateusz spojrzał w koło siebie i poznał że jest na skale, którą wszyscy djablą nazywają — w skrzypcach zamiast dukatów, zostały same węgle! —

Raz znowu jechaliśmy z jarmarku oboje. Noc była widna, choćby szpilki zbierać. Kiedyśmy byli niedaleko tego młyna, Mateusz wstrzymuje konie i powiada, Agnieszko, coś leży na drodze, pójdźno zdejm. Przychodzę, patrzę, — cielę! — prześliczne cielę, nogi ma sznurkiem związane, ale żywe. Łatwo się domyślić, powiada Mateusz, jechał ktoś z jarmarku i zgubił. Weź żono zgubę na sanie. — Ja podnoszę, nie mogę, cielę cięższe od krowy. Wstaje Mateusz, dźwigamy oboje, — ledwie po długich trudach, udało nam się włożyć je pomiędzy siebie. Cielę ciężko sapie i miłosiernie spogląda to na mnie, to na Mateusza, a my radzimy sobie, że jeźli się właściciel nie zgłosi, to będzie ładny przychowek. Wjeżdżamy na podwórko, niesiemy cielę do chaty, — aż tu z cielęcia robi się — kusy —

jak klaśnie w dłonie, jak się zaśmieje cha, cha, cha, jak czmychnie w komin, ażeśmy się oboje poprzewracali pod ławę.

Ale to wszystko jeszcze nic. — Raz było jeszcze gorzej. Oj, aż mi teraz mróz kości przejmuje! bo wtedy dusza była już na ramieniu. Jechaliśmy oboje z wesela. Już późno w noc było kiedyśmy dojechali do cholerycznego cmentarza. Tuż przy drodze widno zdaleka, że coś stoi, zbliżamy się — a to ogromne psisko! Nie rusza się z drogi, lecz pyta: kto jedzie? — Mateusz, człowiek nie bardzo lękliwy i trochę podochocony piwkiem, odpowiada: ludzie. — Cha, cha, cha, świnie ludzie, świnie ludzie, zawołała bieda, i jednym skokiem była na cmentarzu. — Konie jak ruszą z nami, jak zaczną wierzgać i parskać, aż dym buchał. Już nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy, droga niby nasza, niby nie nasza, drzewa inne i wioski nie widno, a przecież od cmentarza już nie daleko! — Ej Agnieszko, błąd się nas uczepił, co duszko robić, którędy jechać? — Jedźmy prosto powiadam, może się nas bieda odczepi.

Jedziemy, jedziemy, zawsze niby drogą, aż nareszcie pod kołami mokro i woda pluszcze, i brzegi się podnoszą, ba patrzy-

my — a konie idą potokiem. Ani zawrócić, ani do góry wyjechać. — Nadstawia Mateusz ucha, nadstawiamy ucha oboje — coś turkocze. Wstaje Mateusz na wozie — i z radości woła: tać to nasz młyn widno — a my jedziemy rzeczułką pod łotoki. Nuż koni smagać i do brzegu nawracać — a tu już ani ratunku! — konie ugrzęzły, koła siedzą w błocie. Biegnie Mateusz do młyna, a młyn miele bez wody. Otwiera drzwi, a tam sto małp uwija się po młynie, i czarna mąka się sypie. On tam ze strachu umiera, a tu mnie z pod woza wygląda małpeczka i na drabiny się spina i woła: a to pani Mateuszowa, weselna swacha, cóż tu u nas robi? — Ja z woza, ona za mną, ja do wody, — a tu dziesięć małp woła: „witamy, witamy, prosimy na wesele!“ Upadłam nieżywa do potoku — niewiem co się potem stało, ale nazajutrz pobudziliśmy się z Mateuszem pod upustem, a koni z wozem — rozstąp się ziemia, — ani widno! —

Oj takie to gospodarstwo w tem młynie — gdyby nie paska, wolałabym drapać na żarnach, niż do tego pytla się zbliżać.

Opodal przy kominku słuchał tej rozmowy syn młynarza, który ze szkół na święta przyjechał. Pokręcał głową i litościwie

uśmiechał się, jak rozum ludzki może w takie bajki wierzyć. — Tymczasem nasypany kosz wypróżniał się z pszeniczki i coraz głośniej kołatał.

Mateuszowa dla wytchnienia podniosła się z worka i wolno przeszła się ku drzwiom. Zaledwie na progu stanęła, przeraźliwy wydała krzyk: „Wszelki duch chwali Pana Boga!“ — i potoczyła się pod pytel.

Wszystko co żyło, porwało się we młynie i każdy z przestrachem i podziwieniem pobiegł ku drzwiom i przed młyn. — Strach młyński! — W imię Ojca i Syna! — Anioł pański — wołali wszyscy — co komu pierwszego na myśl przyszło — na widok, który zobaczyli przed sobą! — Lecz że zgromadzenie prawowiernych było tak liczne, to wszystkim dodawało odwagi, i nikt nie uciekał.

Na kilkanaście kroków od młyna stała postać biała, może na trzy sążnie wysoka. Stała nieporuszona i żadnego nie wydała głosu: „Duszo pobożna, czego żądasz?“ — zapytała jedna staruszka; — lecz dusza nie rusza się i nie odpowiada. — Nareszcie student wysuwa się z pomiędzy patrzących i powiada: „Zobaczycie zaraz jak ta dusza nie potrzebuje pacierza i jak kija się boi.“

Odezwij się duszo, bo jak ściągnę kołem po twoich szczudłach, to odrazu spadniesz i będziesz taka maleńka jak my wszyscy.“ Straszydło stoi i nie odpowiada. „Odezwij się, bo cię potłukę!“ — Straszydło zaczyna się cafać. — Student puszcza laskę za straszydłem, lecz nie zbyt mocno, by mu dać czas zeskoczyć. — Drewniane nogi straszydła zachwiały się, a tołub białą płachtą nakryty, hop na ziemię. Wszyscy parsknęli śmiechem i biegną do ducha, — a z pod białej płachty wyszczerza do nich zęby — i serdecznie się śmieje — kto? — kum Mateusz! — Wszyscy pocieszeni wracają do młyna, pytel kołace, mąka się sypie, a przed koszem — trzymając się pod boki, stoi Mateuszowa i z uśmiechem woła: „Kto nasypie ten miele — powiada nasze przysłowie.“ — Otóż to i straszydło młyńskie! —

Mateusz, filut znany u gromady, wiedząc jaki zajazd we młynie — namówił się z żoną jak kumoszki zabawić i swoję pszeniczkę pierwej wsypać do kosza. Sztuczka się udała — i chociaż Mateuszowa najpóźniej do młyna przyszła — najpierwsza z mąką wróciła do domu — ale odtąd w całej wsi nikt w upiory nie wierzył.

*J. H.*

# DOBRA GOSPODYNI.

---

Niejedna młoda dziewczyna, wyszedłszy za mąż, kiedy się w czepek ustroi, izbę zamiecie, zgotuje kaszę mężowi — jako tako krówkę wydoi a chleb upiecze, to już myśli że wszystko umie — że jest dobrą, bardzo dobrą gospodynią! — A ja jej powiadam, że jeszcze jej daleko, bardzo daleko do tego; bo być dobrą gospodynią, to jest wielkie słowo — trzeba wiele pracy i wiele doświadczenia i wiele wytrwałości — więc jej radzę, niech nie myśli, że już jest, ale niech sobie zawsze powtarza: „Ja chcę być dobrą gospodynią“ — i niech się uczy od starszych — i niech się przypatruje doświadczeńszym — a Bóg jej pobłogosławi i pozwoli uzyskać sobie kiedyś pomiędzy ludźmi imię dobrej gospodyni, — a tymczasem ja jej powiem, jak na to imię zasłużyć można.

— Skoro wejdziesz w dom męża twego, najprzód pomódl się szczerze i serdecznie, i ofiaruj Bogu wszystkie pociechy i kłopoty — radości i cierpienia, które cię w domu tym spotkać mogą — i wezwij błogosławieństwa jego — a ty mu przyrzecz pracę, pilność, cierpliwość i wytrwanie, a sobie postanów, iż za wszystko dziękować będziesz Bogu i wszystko przyjmiesz swobodnym umysłem.

Potem przypatrz się wszystkiemu coś zastała — przepatrz wszystko co z sobą przynosisz. — Każdej rzeczy, każdemu sprzętowi właściwe i pewne przeznacz miejsce, a bacz dalej, aby każdy przedmiot po swojem użyciu oczyszczony wracał na przeznaczone miejsce, — to ci oszczędzi wiele czasu na niepotrzebne traconego szukanie.

W komorze twojej niech będzie czysto i schludno jak w izbie, w skrzyni porządnie i cało — a na tobie każdego dnia jak w niedzielę, choć ubógo, ale chędogo.

A teraz idźmy do obory. — Zima się zbliża, wiatr dmie szparami — weź prędko gliny, rozrób ją z piaskiem, pozalepiaj wszystkie szpary, większe wprzód mchem zatykając, zamknij szczelnie okienka, tylko wysoko pod samą powałą zostaw kilka otworów,

aby świeże powietrze wchodzić mogło niemi, zepsute wychodzić, a uważaj dobrze, aby były wysoko, tak wysoko, żeby wiatr nie wchodził wprost na krówki twoje, bo to im różne choroby sprowadzić może.

Jeżeli masz w oborze podłogę, staraj się w niej ścieki urządzić, jeżeli nie ma, przekop rowek coraz głębszy, aby mogło być sucho — w innych krajach to pod podłogą umieszczają koryto, a w desce co je przykrywa robią parę otworów — to bardzo sucho stajnie utrzymuje i daje sposób lepszego użyźniania roli.

Rok był nieurodzajny, słomy niewiele, może ci zabraknąć na podścielanie, ale sadek twój jeszcze napełniony liściem, nim śnieg go pokryje, zgrab pilnie i na strychu zachowaj nad stajenką — liściem tem możesz zastępować słomę — a nawet gospodarze mówią, że nawóz z liścia może się przydać.

W krajach, gdzie dużo ludzi, a gruntu mało — i łąk brakuje na siano, i lasów na pastwisko — to z wszystkiego robią użytek, liście z drzew póki zielone zbierają i zmieszawszy z liśćmi od wszystkich jarzyn pakują do wielkich beczek, obijają jak kapustę, a nalawszy wodą przyciskają deską i

kamieniem, aby tak zakwaśniały — i to przez zimę dają bydłu na paszę. — Wszystkie liście tak z drzewa, jako i z innych roślin, które bydlę chętnie jada zielone, możesz zakwasić dla niego na zimę. — Liście buraków, brukwi i rzepy zerznij przed wykopaniem jarzyny i posiekawszy nieco zakwaś. Nać kartoflana zerznięta po okwitnieniu może powiększyć paszę — i albo świeżo być użytą, albo ususz ją, posiekaj i domieszaj do sieczki, albo przyłącz do innych kwasić się mających liści.

W innych krajach także siano z sieczką i jaką jarzyną zmieszane gotują, dla bydła wystudzone dają, bo takiego gotowanego pokarmu mniej trzeba dla pożywienia, gdyż go bydle łatwiej strawić może.

U nas już także w lepszych gospodarstwach przynajmniej sieczkę ubijają w kadzi i nalawszy wodą, zostawiają dni parę, aby zmiękła przez zagrzanie i przez to lepszą stała się paszą. Rób i ty tak dla krówek swoich, a obierzynę i tej jarzyny trochę co na omastę dodajesz, zgotuj zawsze w słonej wodzie, i domieszaj do sieczki. Siano, którego bydle jeść nie chce suchem, krop wodą słoną, lub zerznąwszy na sieczkę, sparz wodą albo zakwaś, a będzie jadło.

Nie wyjdźmy jeszcze z obory — patrzno jak krówka twoja grubym postronkiem pokaleczoną ma głowę — wyszukaj taśmy konopnej, albo co lepszego jeszcze, kup pas skórzany, przyszyj do niego kółko żelazne, do którego postronek przyczepisz i to załóż na szyję bydlęciu, a tymczasem zranione miejsce posmaruj niesłonem masłem i owiń szmatką, aby się zagoiło. W dobrych gospodarstwach zamiast postronków używają do wiązania krów przy żłobach łańcuszków żelaznych — prawda że ten łańcuszek pięć razy tyle kosztuje co postronek, ale ci wystarczy na całe życie — i bydło lubi brzęk łańcucha — i nie urwie się z niego, co wielu przypadkom zapobiega. Ale sznur czy łańcuch tak wymierz, aby krówka twoja ani siebie lizać, ani do drugiej dostać się nie mogła, bo połykanie sierści przy lizaniu jest bardzo niebespieczne. Krowa która objawia chęć do lizania jest chorą, i o tem później mówić ci będę i podam środki leczenia. Teraz popatrzmy jeszcze, czemu to jedna z krówek twoich lepiej od drugiej wygląda, kiedy obiedwie jedną paszą żywione, i obie zdają się zdrowe? A! — żłób nie przedzielony! — jedna pewno je wszystko chętnie i prędko — druga trochę

przebierać lubi — zanim druga jeść zacznie, już pierwsza swoją miarkę wyjadła i sąsiadce pomaga. — Przedzielże żłób między każdem bydlęciem, a zobaczysz wkrótce jak się zbiedzone poprawi.

Jeszcze chwileczkę się zatrzymaj — tam w kącie zgrzebło leży — a twoje krowy obrośnięte błotem. Czyś sama nie doświadczała kiedy, że jak się umyjesz i wyczeszesz, to zaraz ci swobodniej, milej i jakby zdrowiej — toż samo dzieje się i z bydlęciem — a jeszcze jemu sto razy gorzej z tym brudem, bo go tak ciśnie, ulega — ogonem ledwie ruszyć może, z boków aż sierść się pościągała, nie żałuj pracy swojej, codziennie kilka chwil wystarczy ci na porządne wyczesanie krów twoich. Bydło samo pojmuje, że mu to zdrowo i potrzebnie, i jużto przysłuchuje się szelestowi zgrzebła z upodobaniem, już tak łagodnie patrzy na ciebie w czasie czesania, jakby dziękować ci chciało. — Czesanie szczególniej zimą ma jeszcze tę zaletę, że zastępuje w części brak ruchu — ale zupełnie się jednak na to nie spuszczaj — i w każdy dzień pogodny wypuść je trochę na podwórko — aby się przeszły i świeżem powietrzem odetchnęły.

Nim siądziesz do dojenia omyj wymię, latem zimną wodą, a zimą letnią — i otrzyj cienką szmatą; obmywanie to nie tylko dla porządku, dla dobroci mleka, ale dla zdrowia bydlęcia jest potrzebne. Wiele krów często cierpi na twardnienie lub pękanie wymion, co albo utrudnia dojenie i do bolesnego ciągnienia zmusza, albo na samo dotknięcie taki ból sprawia, iż bydle najłagodniejsze dostąpić do siebie nie daje. Obmycie letnią wodą miękczy części cierpiące i ułatwia dojenie, a odejmując wszystkie przyczepione nieczystości, które kaleczą części już chore, pomaga do wygojenia. Pękające się wymię, szczególniej zimową porą, smaruj od czasu do czasu niesłonem masłem, łojem lub inną tłustością — a po obmyciu zawsze starannie do sucha wycieraj.

Kiedy masz zacząć doić, przemów do bydlęcia łagodnie, pogłaskaj je, popieść przychylnie, a tym sposobem ułaskawisz najdzikszą krowę, a nieznarowisz łaskawej. Bicie, złe obchodzenie się z bydlęciem, krzyczenie, sobie tylko samej szkodę przynosi, bo niszczy je i strasząc do gwałtowności przyprowadza, a nic nie pomaga.

Jeżeli krowa przez narów jaki, albo z tęsknoty za cielęciem, albo dla tego, że do innej przywykła ręki, doić ci się nie pozwala — staraj się najprzód zabrać z nią znajomość, poddając jej z rąk lepszą paszę — soli kawałek do lizania, głaszcząc ją, drapiąc lekko po szyi — patrząc jej w oczy i przemawiając łagodnie; — a potem probuj jak najwolniej, jak najdelikatniej poddoić trochę — i powróć znowu — i tak ciągle aż ją oswoisz zupełnie i do powolności łagodnością nakłonisz.

Dobre wydojenie zależy na tem, aby nic mleka nie pozostawić w wymieniu — ale że są krowy, które od razu wszystkiego dać nie chcą, i dopiero po chwili przypuszczać zaczynają — staraj się nie męczyć ich gwałtownem zaczęciem — ale probuj spokojnie, lekko — a dopiero gdy przekonasz się już że przypuszcza, dołóż starania przy końcu dojenia równie jak z początku zwolniej siłę dojenia, nie ustając jednak zupełnie póki ostatniej kropli ci nie odda. Po wydojeniu krów wszystkich, radzę koleją jeszcze przejść od najpierwszej i zabrać ostatki mleka — te ostatnie krople są najtłuściejsze — i na pilnem ich wyciąganiu bardzo wiele zależy — gdyż mleko pozosta-

łe w wymieniu przepala się i trawi bezużytecznie, zmniejszając zaraz ilość na raz następny, a obok tego sprowadza rożne cierpienia na bydlę.

Dosyć to już podobno na pierwszy raz tej rozmowy, moja młoda gosposiu, jeżeliś co z niej skorzystała, a chętnie znów uczyć się zechcesz — to przyszłą razą pomówimy nieco o nabiale, i tak dalej przejdziemy o wszystkiem, cobyś wiedzieć i umieć rada, aby się stać kiedyś dobrą gospodynią.

---

# O KUBIE.

(Na notę: *Pije Kuba do Jakóba, Jakób do Michała).*

---

Mówił Kuba
Do Jakóba:
Bierz przykład z Michała;
Zawsze trzeźwy,
Wesół, rzeźwy,
Kocha go wieś cała.
A kto w karczmie pije,
Tego we dwa kije;
Łupu cupu, cupu łupu,
Tego we dwa kije.

W pracy statek,
Da dostatek,
Praca z nędzy dźwiga;
Próżniak modny,
Często głodny,
A w kieszeni figa.

Kto w próżniactwie żyje,
Tego we dwa kije,
Łupu cupu, cupu łupu,
Tego we dwa kije.

Koroneczki,
Perełeczki
Miała pani sama;
Dziś kucharka,
I szynkarka
Stroi się jak dama,
Kto nad stan swój żyje,
Tego we dwa kije,
Łupu cupu, cupu łupu,
Tego we dwa kije.

W karczmie gwary,
Bitwy, swary
Człowiek jak zwierz drapie,
Tu zbity nos,
Obdarty włos,
A tam guz się łapie.
Kto drugiego bije,
Tego we dwa kije,
Łupu cupu, cupu łupu,
Tego we dwa kije.

---

## O Tatulu mój!

Biegną dzieci do szkół, do szkół,
O tatulu mój!
Ja do szkoły, do szkoły,
Z dziećmi pójdę wesoły,
O tatulu mój!
W szkole będę czytał, czytał,
O tatulu mój!
Będę sie modlił w szkole,
I pełnił Boską wolę,
O tatulu mój!
W szkole będę pisał, pisał,
O tatulu mój!
Będę starszym posłuszny
I dla wszystkich usłużny,
O tatulu mój!
W szkole będę śpiewał, śpiewał,
O tatulu mój!
Nauczę się pracować,
I swych bliźnich szanować,
O tatulu mój!
W szkole będę skakał, skakał,
O tatulu mój!
Z pracą miła zabawa,
I wesołość i wrzawa,
O tatulu mój!

Pozwól mi iść do szkół, do szkół,
O tatulu mój!
Za to do twej roboty,
Będę pełnym ochoty,
O tatulu mój!
Puść dziecko twe do szkół, do szkół,
O tatulu mój!
W cnocie wzrosłe twe dziecie,
Będzie słodzić ci życie,
O tatulu mój!

---

## Alboż my to jacy tacy?

Alboż my to jacy tacy,
Nieboracy i prostacy?
Wszak żwawe są z nas chłopaki,
I grzeczne i nie prostaki.
Gdy się w szkole zgromadzimy,
I z ochotą się modlimy,
Rzeknie o nas jaki taki:
Oto szkolne są chłopaki.
Alboż my to chłopcy brudne,
I obdarte i nie schludne?
Wszak to u nas choć ubogo,
Przecież zawsze jest chędogo.
Każdy chatę gdy zamiecie,
I z niej sprzątnie wszystkie śmiecie,

Rzeknie o nas jaki taki:
Oto szkolne są chłopaki!
Albož my to jacy tacy,
I ospali i próżniacy?
Wszakże w szkole do roboty
Jesteśmy pełni ochoty.
Gdy ze świtem idziem w pole,
Uprawiamy w znoju rolę,
Rzeknie o nas jaki taki:
Oto szkolne są chłopaki!
Albož we wsi robim psoty,
Rwiem owoce, niszczym płoty?
Brać rzecz cudzą Bóg nam wzbrania,
Czcijmy Boskie przykazania.
Jak nie będziem nigdy kłamać,
Rwać owoców, drzewek łamać,
Rzeknie o nas jaki taki:
Oto szkolne są chłopaki.
Albož my to jacy tacy,
I hultaje i pijacy?
W pijaństwie żyć to obrzydle,
Pijak gorszy niźli bydle.
Gdy do karczmy po kościele
Nie idziemy i w niedzielę,
Rzeknie znowu jaki taki:
Oto szkolne są chłopaki!

*Koniec książeczki pierwszej.*